

Informator Krajoznawczy

Nr 7/95 (lipiec) 2017



**Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze
Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra
Komisja Krajoznawcza**

Wprowadzenie



Lipcowy numer IK poświęcam tylko jednej wyprawie. Ponieważ cały miesiąc byłem w Indiach zamieszczam relację z tej właśnie wyprawy. Mam nadzieję, że zainteresuje ona Was na tyle, że może niektórzy pomyślą by się tam wybrać.

Życzę miłej lektury.

Krzysztof Tęcza

Spis treści:

Str. 1 Wprowadzenie

Str. 3 Indie: Pendżab, Kaszmir, Tybet, Himalaje

Indie: Pendżab, Kaszmir, Tybet, Himalaje

W dniach od 5 lipca do 2 sierpnia 2017 roku wyruszyliśmy w podróż po Indiach. Oczywiście miesiąc czasu to stanowczo za mało by poznać tak duży kraj. Dlatego skupiliśmy się na Indiach północnych. Trasa podróży wiodła przez niziny Pendżab w Himalaje do doliny Kaszmiru i na płaskowyż Małego Tybetu. Zwiedzanie rozpoczęliśmy od Delhi by przez Amritsar dotrzeć do Śrinagaru nad jeziorem Dal. Głównym celem naszej podróży był Mały Tybet. Zajrzeliśmy do Doliny Nubry i odwiedziliśmy święte miasto Haridwar.

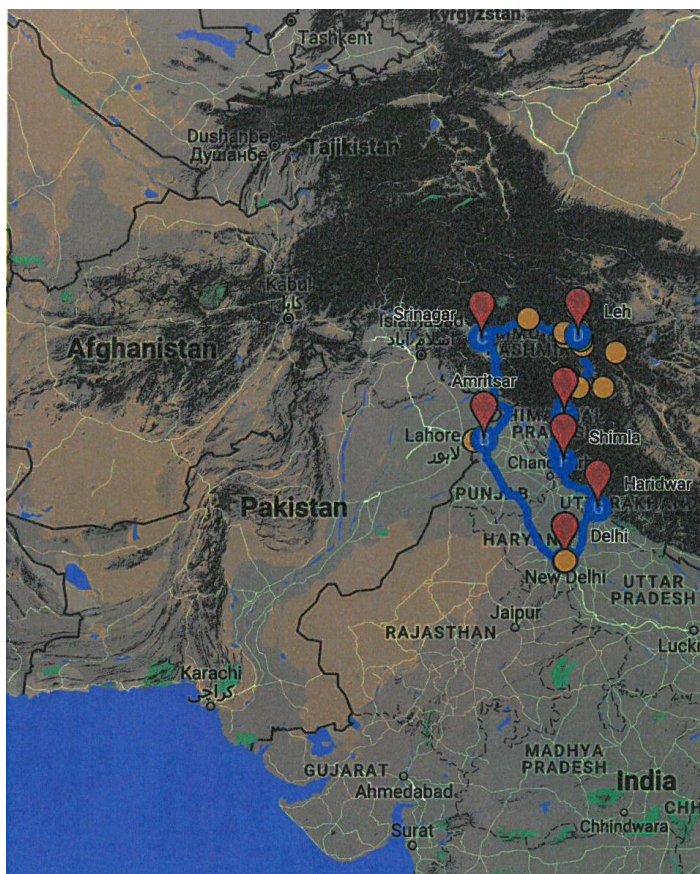
Przed wszystkim naszą opowieść muszę rozpocząć od samego pomysłu podróży. Indie to nie tylko wielki kraj, zamieszkały przez ludzi różnych ras i narodów, mówiących wieloma językami i wyznających różne religie. To przede wszystkim kraj kontrastów. I nie chodzi tutaj tylko o przepaść pomiędzy różnymi kastami społecznymi. Chodzi także o różnorodność krajobrazu. Dla nas oczywiście najważniejszym były góry. Mieszkamy w górach i dlatego porównanie naszych terenów do gór popularnie nazywanych wysokimi było dla nas priorytetem.



Ponieważ wyjazd na taki objazd samemu byłby istnym szaleństwem znaleźliśmy biuro turystyczne zajmujące się takimi wyjazdami. Okazało się jednak, że znalezione przez nas biuro nie było typowym biurem podróży. Jeden z właścicieli, który miał prowadzić ten wyjazd był, a właściwie jest po uszy zakochany w Indiach. Od wielu lat jeździ i poznaje ciągle nowe tereny. Tym razem także chciał sprawdzić nową

trasę. Dlatego nasz wyjazd nie do końca był uporządkowany. Mogły zdarzyć się podczas niego różne niespodzianki. I zdarzyły się. Nie przeszkadzało nam to.

Ale po kolei. Najpierw musieliśmy dostać się do Warszawy. To najłatwiejsza część wyprawy chociaż najdłużej trwająca. Okazało się, że główny lot w Zurychu do Delhi trwał mniej więcej tyle samo czasu co przejazd pociągiem na trasie Jelenia Góra – Warszawa. Różnica polegała tylko na tym, że samolot pokonał w tym czasie około 9 tysięcy kilometrów a pociąg 500.



Pierwszy mały samolocik przeniósł nas z Warszawy do Zurychu. Dopiero tam przesiedliśmy się do wielkiego samolotu, który miał przetrząść naszą grupę przez całą Europę i dostarczyć do Azji. Sam lot można uznać za nudny. Jednak dla mnie nie był on taki. Otóż nigdy wcześniej nie leciałem samolotem a mając lęk wysokości trochę obawiałem się reakcji swojego organizmu. Gdy inni uczestnicy wyprawy dowiedzieli się o tym przekazali mi wiele dobrych rad jak znieść taką podróż. Jak się jednak okazało nie było tak źle. Wszystko przebiegło bez sensacji. Nawet nie

musiałem używać papierowej torebki znajdującej się w standardowym wyposażeniu każdego miejsca w samolocie.

Pierwszy lot z Warszawy do Zurychu zanim się rozpoczął już się skończył. Samolot ledwie wzniósł się w powietrze już zaczął schodzić do lądowania. Drugi główny lot trwał już kilka godzin. Co prawda podczas podróży kilkakrotnie serwowano nam posiłki co sprawiło, że nie dłużyło nam się specjalnie.

Dzień pierwszy

Najciekawsze dopiero było przed nami. Po wylądowaniu na lotnisku w Delhi i odebraniu bagażu poszliśmy w stronę postoju taksówek. W zasadzie nawet nie zauważyliśmy by było jakoś inaczej. Dopiero gdy otworzyły się automatyczne drzwi i przeszliśmy przez nie wychodząc na ulicę poczuliśmy coś niesamowitego. Otóż do tej pory temperatura była całkiem znośna. Okazało się jednak, że cały czas przebywaliśmy w zamkniętych klimatyzowanych pomieszczeniach. Gdy wyszliśmy na zewnątrz trafiliśmy w ukrop. Dosłownie poczuliśmy się tak jakbyśmy w pewnym momencie wpadli do garnka z wrzącą wodą. Temperatura na dworze była bliska 30 stopniom. A przecież była północ. To co będzie w dzień? Na razie zaczęło z nas płynąć. Nigdy wcześniej nie miałem takiego doświadczenia. Dosłownie czułem jak po ciele płynie strumień ciepłej wody. Na szczęście nasz lider, Jarosław, szybko dogadał się z taksówkarzami i pojechaliśmy dwoma autami do miasta. W grupie było nas osiem osób plus lider, razem dziewięć. Dlatego często musieliśmy korzystać z dwóch czy trzech środków lokomocji jednocześnie. Nie było to zbyt komfortowe ale nie było wyjścia.

Jadąc w stronę hotelu z ciekawością rozglądaliśmy się dookoła. Nasz kierowca jechał całą szerokością jezdni, w ogóle nie zwracając uwagi na pasy. Po chwili zauważyliśmy, że tak samo jeżdżą wszystkie mijane auta. Więc to norma, nie ma co zwracać uwagi. Ponieważ szyby w oknach były opuszczone zrobił się przeciąg. Kierowca poproszony o ich zamknięcie stwierdził, że to niemożliwe. Po chwili jednak gdy lunął deszcz, by nie zmoknąć, sam je zamknął.

Delhi okazało się bardzo rozległym miastem i prawdziwą metropolią. Sam dojazd do hotelu zajął nam dobrze ponad godzinę. Gdy wjechaliśmy w uliczkę przy której miał znajdować się nasz hotel przeraziliśmy się trochę. Wszędzie walały się sterty śmieci. Wyglądało to tak jakbyśmy jechali przez śmietnik. Co prawda Jarek uspokajał nas mówiąc, że to jest bardzo przyzwoita dzielnica i że nic nam się tutaj nie powinno wydarzyć. Na razie nie myśleliśmy o tym. Najważniejsze było położyć się spać.



Mimo późnej pory przed wejściem do hotelu czekał na nas portier, który otwierając drzwi miłym gestem zapraszał do środka. Tam przywitał nas przyjemny chłodek. Znowu byliśmy w klimatyzowanym pomieszczeniu. Trochę trwało przygotowanie pokoi i rozdanie kluczy bo, jak się okazało, podczas całego wyjazdu cały czas musieliśmy „walczyć” o odpowiednią ilość pokoi. Czasami nie było z tym problemu, czasami nie było łatwo. Najważniejsze, że teraz wszystko poszło gładko i mogliśmy udać się do przydzielonych pokoi. Obsługa poustawiała nam odpowiednio klimatyzację i można było wreszcie odpocząć. Byliśmy tak zmęczeni, że nawet nie myśleliśmy o tym jak wyposażone są te pokoje.

Pewnie dlatego gdy obudziliśmy się rano, przeżyliśmy szok. Okazało się, że w pokojach nie ma okien. Były to po prostu małe pokoje z łózkami, stolikami i szafą oraz łazienką z prysznicem, muszlą i umywalką. Nawet nie było zastłonki w prysznicu. Pierwszym zgrzytem był brak papieru toaletowego. Za to nie brakowało ciepłej wody. Większym kłopotem okazał się fakt, że w kranie z zimną wodą także płynął wrzątek. Gdy zeszliśmy do recepcji wyjaśniono nam, że tutaj w zasadzie nie używa się papieru toaletowego gdyż rury kanalizacyjne mają ten sam przekrój co wodne i zapychają się. W każdej łazience przy muszli jest zainstalowany specjalny wężyk z wodą pod ciśnieniem, który służy do podmywania. Ponoć jest to bardziej higieniczne i wygodniejsze. Może i tak, na razie na pewno jest to dla nas trochę dziwne.

W hotelu panuje jakiś dziwny spokój. Nikomu się nie spieszy. Wymieniamy dolary na rupie i wychodzimy na ulicę. Jest wcześniej więc wypadałoby zjeść jakieś śniadanie. Postanowiliśmy, że pójdziemy do jakiejś restauracji.



Po wyjściu z hotelu od razu zauważyliśmy, że jest jakoś inaczej. Ulica była w miarę posprzątana, znikły sterty śmieci. Co prawda przy budynkach leżały hałdy gruzu ale ogólnie było w porządku. Idąc za Jarkiem słuchaliśmy jego słów. Start się on objaśniać wszystko co jest dla nas dziwne. Powolutku wprowadzał nas w zawiłości tutejszego życia. Aby dotrzeć do lokalu, w którym przeważnie jadają grupy Jarka musieliśmy przejść kilka przecznic. Od razu zauważyliśmy pierwszą publiczną toaletę. To pisuar zawieszony we wnęce muru, bez drzwi czy jakiejś zastłonki. Przynajmniej od razu widać co to za miejsce. Trochę przy nim capię ale okazało się, że to rura odprowadzająca mocz była pęknięta i wszystko wybijało na środku ulicy. Nikomu, jak widzieliśmy, to jednak nie przeszkadzało. Po chwili dojrzeliliśmy w bocznej uliczce zakład fryzjerski, potem drugi. Dziwne było nie to, że można zostać obsłużonym za dolara, tylko to, że widzieliśmy tylko zakłady dla mężczyzn. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że społeczeństwo jest tutaj podzielone na kasty rządzące się swoimi prawami. Są też ludzie nie mieszczący się w żadnej kaście. O ile ci pierwsi mają jakieś szanse na zmianę swojego życia, choćby poprzez zdobycie

wykształcenia czy znalezienie dobrej pracy to ci drudzy w zasadzie, jak się urodzili, tak i umrą. W ich życiu nie zmieni się nic. Będą wykonywali najgorsze i najslabiej opłacane prace. Do tego jest jeszcze coś. Otóż mowa tutaj w zasadzie o mężczyznach. Kobiety w Indiach to nie ludzie. One nie liczą się. Chociaż oczywiście zależy to od pozycji społecznej czyli od tego, z której kasty pochodzi dana kobieta. Wiadomo, że na tych niższych szczeblach są one traktowane, delikatnie mówiąc, bardzo źle. Jednak te z wyższych sfer często mają służbę i stosowną oprawę.

Gdy dotarliśmy do naszego lokalu okazał się on kilkupiętrowym niewielkim budynkiem. Sala jadalna usytuowana była na parterze, zaś kuchnie i toalety na wyższych piętrach. Długo nie czekaliśmy, zaraz przyszedł kelner i rozdał nam menu. Fajnie, że były w nim obrazki poszczególnych posiłków bo inaczej i tak byśmy nie wiedzieli co zamówić. Najpierw jednak Jarek powiedział nam co możemy tutaj jadać a czego powinniśmy się wystrzegać. Najgorsze bowiem co mogło nas spotkać to dostanie biegunki. W zasadzie większość dań jest wegetariańska, chociaż sposób przyrządzania warzyw powoduje, że czasami nie wiemy czy jemy mięso czy warzywo. Do tego w ofercie znajduje się niezliczona ilość sosów i przypraw. Ponieważ Jarek był tu już wiele razy mówił co jak smakuje. Pytał się każdego z nas co lubimy i na tej podstawie doradzał jakąś potrawę. Praktycznie każdy zamówił coś innego. Wszystko okazało się smaczne i nie było żadnych sensacji. Jedynym problemem stał się wybór herbaty. Było ich kilka rodzajów. Najlepsza jednak okazała się herbata z miodem i imbirem. Nie dość, że rozgrzewała to dawała niezłego kopa. Jeśli chodzi o napoje to otrzymaliśmy radę by pić tylko te, które są oryginalnie pakowane.

Śniadanie było bardzo obfite. Mimo, iż to tylko ryż i warzywa byliśmy najedzeni, żeby nie powiedzieć przejedzeni. Przyszła zatem pora by zobaczyć jak wygląda stolica Indii. Zamówiliśmy riksze i udaliśmy się w miasto. Najpierw dotarliśmy na olbrzymi plac z widoczną z daleka budowlą w formie łuku triumfalnego. To Brama Indii. Olbrzymi teren wokół niej był kiedyś pięknym zielonym parkiem. Ponieważ miejsce to stało się celem codziennych wycieczek zarówno mieszkańców jak i turystów niemal cała roślinność została zdeptana. Rośnie tu tylko trochę drzew. Za to sama brama robi wrażenie. Zwłaszcza, że pilnują ją patrole wojska w bardzo ciekawych mundurach. Okazuje się, że nie robią żadnego problemu gdy chcemy się z nimi sfotografować. Ba, często sami proponują wspólne zdjęcie. Spacerujący mieszkańcy zaczynają się nam dziwnie przyglądać. Pytamy dlaczego, wtedy Jarek nam tłumaczy, że przez wieki panujący tu Anglicy wytworzyli w nich jakieś przeświadczenie o wyższości białej rasy. Oczywiście dzisiaj biały człowiek nie jest

traktowany jak bóg ale tubylcy podchodzą do niego z dużym szacunkiem. Do tego mają swoje upodobania. Chętnie robią sobie zdjęcia z białymi kobietami, zwłaszcza gdy te są blondynkami. Dotykają ich włosów. Z czasem okaże się to naszym utrapieniem. Często zamiast zwiedzać musimy pozować do zdjęć.



Kolejnym celem naszego spaceru była dzielnica rządowa. Dotarliśmy do budynku parlamentu i pod pałac prezydencki. To budowle wzniesione z wielkim rozmachem. O ile pierwsze budynki można zwiedzać to widoczny w oddali pałac prezydencki jest niedostępny. Przy bramie stał uzbrojony w karabin żołnierz i jedyne co można było zrobić to poprosić go o ustawienie się z nami do zdjęcia na tle siedziby prezydenta. Mimo tego warto było tu podejść by zobaczyć siedzibę rządu.

To nie koniec atrakcji. Wieczorem udaliśmy się do świątyni sikhijskiej Bangla Sahib. Musieliśmy zdjąć obuwie i założyć na głowy specjalne pomarańczowe chusty. Tym, którym nie bardzo szło ich wiązanie pomogła bardzo miła obsługa. Później musieliśmy przejść przez zagłębienie z wodą by przed wejściem na teren świątyni oczyścić nogi. Najpierw usiedliśmy na dywanie i Jarek opowiedział nam o Sikhah. Dowiedzieliśmy się podstawowych danych tak byśmy chociaż trochę mieli pojęcie o tym co zobaczymy w świątyni. Tam dostrzeżliśmy umieszczoną pośrodku złotą księgę

omiataną przez brodaczy miotełkami. Obok siedziało trzech ludzi, z których jeden grał na bębenku a pozostali dwaj coś śpiewali. Zgodnie z obyczajem usiedliśmy na dywanie by móc dalej uczestniczyć w ceremonii. Ponieważ był już późny wieczór, po wyjściu ze świątyni, widzieliśmy tylko najbliższy teren, skąpo oświetlony małymi lampkami. Przy wejściu na plac świątynny znajduje się kuchnia, z której może skorzystać każdy, zarówno głodny jak i ten kto chce tylko spróbować bożego jedzenia. Widać było, że większość nastawiała tylko rękę by wziąć w garść odrobinę jadła. Widocznie chodzi o zasadę, o skosztowanie.

Dzień drugi

Wstaliśmy wcześniej rano. Trzeba było spakować plecaki, dokonać porannej toalety, wypić herbatkę i ruszyć w miasto by dalej zwiedzać Delhi. Najpierw obejrzelśmy pomnik zatytułowany „Marsz Gandhiego po sól”. Miało to związek z wydarzeniem sprzed wielu lat kiedy to Indiami rządili jeszcze Anglicy. Otóż wydali oni wówczas dekret zakazujący pozyskiwania przez Hindusów soli. Gandhi uznał to za nadużycie i zapowiedział, że będzie pozyskiwał sól. Ogłosił, że wyrusza pieszo w stronę morza by tam zbierać sól. Do pochodu zaczęli dołączać się kolejni ludzie uważający tak jak on. Anglicy, jako ludzie przestrzegający prawa nie reagowali, tylko przyglądali się co z tego wyniknie. Jednak gdy Gandhi ze swoimi ludźmi dotarł nad morze i zaczął pozyskiwać sól Anglicy uznając, że naruszono prawo aresztowali go. Z resztą obeszlą się znacznie gorzej. Większość z nich została brutalnie pobita.

Stąd pojechaliśmy riksami do pierwszego parku czyli miejsca śmierci Mahatmy Gandiego. Jest to miejsce gdzie Gandhi pracował, mieszkał i prowadził swoje nauki. Tam też został zastrzelony. Niestety przyjechaliśmy za wcześnie i musieliśmy poczekać do dziesiątej. Wtedy nas wpuszczą. Pozwoliło nam to poobserwować biegające po drzewach śmieszne wiewiórki.

W końcu doczekaliśmy się i mogliśmy wejść na teren rezydencji. Obejrzelśmy wystawy poświęcone życiu tej wybitnej osoby. Najdziwniejszym miejscem był jego osobisty pokój. Zobaczyliśmy tam tylko łóżko, stolik i biurko. Wszystko takie małe. Tutaj większość czynności wykonuje się kucając albo siedząc na podłodze. Podziwialiśmy drzewa butelkowe rosnące wzdłuż alei prowadzącej do miejsca, w którym zastrzelono Gandiego. Zbudowano tam niewielką altankę z pomniczkiem pośrodku. Aby do niej dotrzeć należało przejść po ułożonych w trawie kamiennych stopach. Najpierw jednak musieliśmy zostawić w szatni buty. Tutaj do ważnych miejsc chodzi się na bosaka. Akurat teraz było to trochę niewygodne bo słońce tak

rozpaliło te stopki, że trudno idąc po nich wytrzymać. Trzeba było jakoś sobie z tym poradzić.



Po zaspokojeniu naszej ciekawości przejechalismy riksą do pałacu, w którym urzędował i zmarł prezydent Neru. Znajduje się tam sporo związanych z nim pamiątek. Tak się jakoś złożyło, że odwiedzane tego dnia obiekty związane były z osobami, które już nie żyją.

Kolejnym pałacem była siedziba Indiry Gandhi. W budynku zorganizowano muzeum jej poświęcone. W parku znajduje się przykryta szklanymi taflami ścieżka. To właśnie na niej została ona zastrzelona.

Zanim jednak tam się wejdzie trzeba przejść szczegółową kontrolę. Nasze plecaki zostały prześwietlone. Na specjalnych regałach trzeba było zostawić wszystkie butelki, zarówno te z płynami jak i puste. Dlatego ci, którzy zostali zaskoczeni tym faktem szybko wypili wodę by wyrzucić butelki do stojących koszy. Strażnik widząc to kazał im wyjść na zewnątrz i zostawić puste opakowania w przygotowanych tam regałach.

Podczas zwiedzania dowiedzieliśmy się kilku ważnych faktów z najnowszej historii Indii. Poznaliśmy powody dla których Indira Gandhi została zastrzelona. O dziwo, chociaż po otrzymanych informacjach już się tak nie dziwimy, zastrzelił ją jej własny ochroniarz.

Dzisiaj korzystamy z komunikacji miejskiej. Jedziemy metrem. Tutaj także czeka nas kontrola. Plecaki są prześwietlane a my przechodzimy przez bramki i jesteśmy kontrolowani przez ochronę. Kobiety wchodzi jednym wejściem, mężczyźni drugim. Ba, są nawet informacje na peronach gdzie stają wagony przeznaczone tylko dla kobiet. Samo metro, zbudowane w bardzo szybkim czasie, jest nowoczesne i czystutkie. Nie ma tutaj żadnych szwędających się ludzi. Wszystko jest pod kontrolą. Pociągi są klimatyzowane. Wszystko oznaczone. Na peronach nawet zaznaczono jak mają ustawiać się pasażerowie. Wagony zatrzymują się w ściśle wyznaczonych miejscach. Nie ma zatem takich sytuacji, że oczekujący na namalowanych liniach będą nie tam gdzie otworzą się drzwi. Wszystko to znakomicie usprawnia ruch. Oczekujący stoją po bokach drzwi a wysiadający wysypują się z wagonów środkiem. Nikt nikomu nie przeszkadza.

Idąc ulicami od razu widzimy prawdziwy ruch. Wszędzie tłok, ciągłe klaksony i te pędzące riksze, prawie ocierające się o siebie. Wygląda na to, że nie przestrzega się tutaj żadnych zasad ruchu drogowego. Każdy jeździ jak chce. A trzeba wiedzieć, że obowiązują tu ruch lewostronny. Nie widać jednak żadnych wypadków.

Po południu wyjeżdżamy z Delhi. Ruszamy do Amritsar. Podjeżdżamy na dworzec kolejowy. Panuje tam niesamowity tłok i ścisk. Wszędzie pełno ludzi. Jedni idą, drudzy jedzą, a jeszcze inni po prostu siedzą lub leżą na chodnikach, na placu przed dworcem czy na peronach. Trzeba uważać by nie nadepnąć na kogoś. Zauważamy co jakiś czas zlewy z kranami, z których kto potrzebuje czerpie wodę. Niestety gdy przybywamy na dworzec dopada mnie ból brzucha. Rozglądam się za jakąś toaletą. Gdy ją znajduję okazuje się, że w tej części dworca nie ma klimatyzacji. W poczekalni znajdują się setki ludzi. Jakoś udaje mi się dotrzeć do kabiny. Nie będę opisywał co dalej się działo. Gdy wyszedłem byłem cały mokry. Dosłownie lało się ze mnie. To z gorąca i nerwów, że ucieknie mi pociąg. Na szczęście zdążyłem w samą porę i więcej podczas całej podróży nie miałem już takich sensacji.

Tym razem jedziemy pociągiem ekspresowym. Nie jest tak źle. Muszę powiedzieć, że tutejsze pociągi są znacznie większe od naszych. I to nie tylko wymiarami wagonów. Sam skład potrafi mieć kilometr długości. Jeśli więc nie staniemy tam gdzie ma zatrzymać się nasz wagon, możemy mieć problem. Przemieszczenie się

bowiem w takim tłumie o kilkanaście długości wagonów wcale nie jest takie proste. Przed nami 440 km jazdy. W wagonach nie ma przedziałów ale są z jednej strony miejsca dla trzech pasażerów a z drugiej dla dwóch. Gdy tylko ruszamy obsługa podaje butelkowaną wodę i posiłek. Część smakowo jest nie do przyjęcia, część można spokojnie zjeść. Chodzi oczywiście o smaki, nie o jakość. Po chwili dostajemy herbatę a za jakiś czas drugi poczęstunek. Tym razem jest to gorąca zupa. Tego nam było potrzeba. Był też deser i na koniec lody. Kiedy u nas doczekamy się takiej obsługi?

Dzień trzeci

Jesteśmy w Amritsarze. Na peronach, dworcu i chodnikach pełno ludzi. Jeszcze śpią. Przed dworcem pakujemy się do stojących rikszy i jedziemy do hotelu. Kierowca pokazał jak szybko i sprawnie jedzie się do celu. Gdy na drodze wypatrzył jakąś dziurę zaraz zjeżdżał na przeciwległy pas i nie zważając na jadące z przeciwka pojazdy jechał dalej. Jakimś cudem zawsze wracał na swój pas mijając o milimetry inne pojazdy. Wreszcie dotarliśmy do hotelu. Ukrop jak nie wiem co. Niby jest klimatyzacja ale trzeba trochę poczekać by dopiero co włączona przyniosła ulgę. Wykorzystaliśmy wolny czas by poznać się wzajemnie. Każdy opowiedział coś o sobie, wypiliśmy po drinku i padliśmy jak zabici.

Dzień czwarty

Gdy budzimy się rano wydaje nam się, że łóżka są twarde jakby nie było na nich materacy. Mimo, iż spałem tylko pod prześcieradłem a klima i wentylator chodziły całą noc jestem mokry. Myślę sobie: szybki prysznic i powinno być dobrze. Było jednak jeszcze gorzej. Gdy odkręciłem kurek zamiast zimnej wody polał się sam wrzątek. Odkręcam drugi a tu para. Jak się umyć w takich warunkach? Najgorsze, że już zdążyłem namydlić włosy. Jakoś trzeba spłukać pianę. W końcu udaje mi się, i schodzę na dół. Idziemy do miasta. Naszym celem jest złota świątynia Sikhów. Najpierw jednak wybieramy restaurację, w której zjemy śniadanie. Ponieważ jest bardzo wcześnie kierujemy się do „najlepszej restauracji na świecie” czyli do MacDonalda. Ciekawi nas ich menu. Okazuje się, że tak jak wszędzie są tu same dania wegetariańskie. Bierzymy kawę i siadamy w klimatyzowanej sali. Co za ulga. A jaki widok. Jesteśmy na przeszklonym pięterku, z którego mamy widok na pomnik ustawiony na pobliskim placu.

Właśnie tam udajemy się po posiłku. Ten wielki monument ma upamiętniać tragedię jaka rozegrała się w ogrodzie Dżalianwali w 1917 roku. Jakiś

niezrównoważony oficer wydał wówczas rozkaz strzelania do tłumów z karabinów maszynowych. To była istna rzeź. Zginęło 400 cywilów a ponad 1200 było rannych. Ludzie nie mieli gdzie uciekać bo z trzech stron plac otaczał mur. Niektórzy rzucali się do studni. Dzisiaj znajduje się tu stosowna tablica upamiętniająca ofiary tego bezprecedensowego wydarzenia. Mury zabezpieczono szybami tak by widać było setki dziur po kulach.



Zarówno w ogrodzie jak i na ulicy wszyscy robią sobie z nami zdjęcia. Na razie jesteśmy jedynymi białymi w tej okolicy. Nasze zdziwienie wywołały rozstawione przy wyjściu z muzeum łóżka polowe na których leżeli ludzie. Początkowo myśleliśmy, że zasłabli. Dopiero po chwili wyczytaliśmy z ogłoszenia, że jest to przenośny punkt krwiodawstwa. Ludzie po prostu oddawali krew. Obok siedzieli żołnierze pilnujący porządku. Oczywiście zrobiliśmy sobie z nimi pamiątkowe zdjęcia.

Idąc ulicą w stronę świątyni widzimy trzymających się za ręce lub wręcz tulących się do siebie mężczyzn. Zastanawiamy się o co tutaj chodzi. W końcu wytłumaczono nam, że w ten sposób mężczyźni okazują sobie przyjaźń, że to normalny obrazek. Nie ma się czemu dziwić.

Wreszcie docieramy do świątyni. Właściwie to do placu świątynnego. Najpierw musimy stanąć w kolejce by zdać do przechowalni buty. Dalej możemy iść już tylko boso. Do tego zakładamy na głowy kolorowe chusty. Ci, którzy mają odstonięte kolana muszą przykryć je kolejnymi chustami. Dopiero teraz możemy przejść przez wodę i wejść do białych budynków otaczających właściwy plac, pośrodku którego znajduje się wielki zbiornik wodny z wyspą, na której wzniesiono złotą świątynię. Do tej pory myśleliśmy, że jest ona złota tylko w nazwie. Okazuje się jednak, że naprawdę jest ona złota. Kiedyś w tym miejscu było niewielkie jezioro. Gdy uznano, że to doskonale miejsce na świątynię zbudowano ją na wyspie usytuowanej na samym środku zbiornika. Do tego zbudowano sporej długości groblę łączącą brzeg ze świątynią. Dzisiaj jest to jedyna droga, którą można dojść do świętego miejsca.

Początkowo, po przejściu bramy siadamy, tak jak wielu innych pielgrzymów, na schodach i z podziwem oglądamy świątynię. Jednak po chwili podchodzi do nas groźnie wyglądający brodaty strażnik i zwraca nam uwagę na nasze niestosowne zachowanie. Okazuje się, że siedzimy jak Europejczycy, powinniśmy zaś skrzyżować nogi po turecku. Schodzimy zatem niżej i siadamy a właściwie kładziemy się pomiędzy innymi. Tam wysłuchujemy kolejnego opowiadania Jarka i dopiero wtedy rozchodzimy się, by każdy zobaczył to co jego interesuje. Część z nas podeszła do schodów i tak jak inni zażyliśmy oczyszczającej kąpeli. Zrobiliśmy sobie zdjęcia ze strażnikami. Później obeszliliśmy zbiornik dookoła przypatrując się znajdującym się tam ołtarzykom. Naszą uwagę zwrócił fakt, że mężczyźni kąpali się wszędzie, natomiast kobiety tłoczyły się tylko w jednym miejscu. Wybudowano tam dla nich specjalne łazienki tak by nikt ich nie widział. To w trosce o dobro mężczyzn, by niepotrzebne widoki nie rozpraszały ich modlitw.

Przypatrujemy się jak jeden z ludzi dbających o porządek zagania do narożnika pływające tutaj wielkości karpia pomarańczowe ryby. Właściwie to nam się tylko tak wydawało. Okazano się bowiem, że on wcale nie zajmował się tymi rybami tylko długim kijem ściągał wszelkie pływające po powierzchni wody śmieci.

Gdy obeszliliśmy świątynię dookoła ustawiliśmy się w kolejce ludzi chcących przejść przez groblę. To był prawdziwy tłum. Do tej pory nie widzieliśmy takiego tłumu. Setki jeśli nie tysiące wiernych. Po kilkudziesięciu minutach stwierdzamy, że nie mamy szans na szybkie dotarcie do świątyni. Rezygnujemy z dalszego oczekiwania i wracamy do hotelu. Spróbujemy podejść wieczorem. Zwłaszcza, że mamy zostać tutaj do jutra.

Dzień piąty

Zgodnie z wczorajszą zapowiedzią wstajemy skoro świt. Za chwilę podjadą pod hotel dwa samochody, które mają zawieźć nas do Attari gdzie codziennie odbywa się ceremonia uroczystego zamknięcia przejścia granicznego pomiędzy Indiami a Pakistanem. Gdy wsiadaliśmy do samochodów nie bardzo wiedzieliśmy o co chodzi. Bo cóż może być ciekawego w zamknięciu przejścia granicznego. Po prostu jest ustalona godzina do której przejście jest czynne i tyle.



Jak się jednak mieliśmy wkrótce przekonać to nie jest zwykłe przekręcenie klucza w zamku. Ale o tym za chwilę. Gdy dojeżdżaliśmy na miejsce widzimy kilkukilometrowe kolejki. Jednak ludzie w nich stojący wcale nie stali, wciąż posuwali się do przodu. I to dosyć sprawnie. Wjeżdżamy do olbrzymiego garażu gdzie musimy zostawić nie tylko samochody. Okazuje się, że musimy także zostawić wszelkie niebezpieczne rzeczy. Ciągłe poganiani - niebawem ma się rozpocząć ceremonia, dla której tutaj przyjechaliśmy - idziemy w stronę wspomnianych kolejek. Gdy już zastanawialiśmy się jak długo przyjdzie nam dreptać ku bramie przejścia dowiedzieliśmy się, że mamy ominąć wszystkie te niezmiernie długie kolejki i przejść bezpośrednio pod wejście dla WiP-ów. Okazuje się bowiem, że biali

turyści są tu traktowani nieco lepiej od mieszkańców regionu. Takich turystów wpuszcza się w pierwszej kolejności. Oczywiście nie oznacza to, że nie przejdziemy stosownych kontroli granicznych.

Podchodzimy do wydzielonych pasów i po chwili jesteśmy przy punkcie kontroli. Tak jak wszędzie kobiety mają swoje przejście, mężczyźni swoje. Najpierw przechodzimy przez bramki, później jesteśmy rewidowani przez żołnierzy. Także nasze bagaże sprawdzane są skrupulatnie. Gdy tylko uznano, że jesteśmy w porządku poszliśmy drogą prowadzącą w stronę budowli przypominającej niedokończony stadion. Przekraczamy potężną bramę i faktycznie czujemy się jak na olbrzymim stadionie. Po obu stronach elipsowatego placu widzimy trybuny. Podzielono je na sektory. Każdy kto tutaj wchodzi kierowany jest do jednego z nich. Ze względu na późną porę większość miejsc jest już zajęta. Wypatrujemy gdzie można jeszcze usiąść, gdy jeden z żołnierzy wskazuje nam nasz sektor. Znajduje się on na samym końcu placu, tuż przed bramą graniczną. Wspinamy się po schodach jak najwyżej się da myśląc, że im wyżej tym lepszy będziemy mieli widok. Niebawem miało się okazać, że to gdzie się usiadło nie miało najmniejszego znaczenia. W chwilach kiedy działo się coś ciekawego i tak wszyscy wstawali i krzykiem zagrzewali swoich do działania.

Patrzymy na szybko zapełniające się sektory i zastanawiamy się ileż może tutaj być widzów. Trudno zgadnąć. Widząc, że sektory są mniej więcej tych samych wymiarów staramy się policzyć ludzi w jednym i mnożymy to przez ilość wszystkich sektorów. To niesamowite. Wyszło nam, że musi tutaj być co najmniej 8 tysięcy widzów. A przecież po drugiej stronie granicy jest podobnych rozmiarów obiekt, w którym także widać nieprzebrane tłumy ludzi.

Gdy już, po kilku zamianach miejsc, rozsiedliśmy się wygodnie, rozglądamy się z ciekawością dookoła. Od razu rzucają się nam w oczy dwie rzeczy. Pierwsza to ogrom tej budowli. Nie dość, że mieści ona tysiące ludzi to widać, że wciąż jest rozbudowywana. Widać już kolejne pietra. Wszędzie wystają grube pręty zbrojeniowe. Gdy budowniczowie zakończą swoje prace pewnie ilość miejsc podwoi się. Druga rzecz, którą od razu widzimy to łoża po drugiej stronie, naprzeciwko nas. Tylko tutaj są puste miejsca. Widzów jest tam niewielu, a i wcale ich nie przybywa. Za to miejsce to jest dobrze chronione, nie wejdzie tam nikt, kto nie powinien się tam znaleźć. Okazuje się, że to jest łoża dla prawdziwych WiP-ów. Nasza to tylko taka namiastka, to miejsce dla białych. Natomiast tam przybywają ludzie przyzwyczajeni do swobody i przepychu. Obok tej łoży ustawiono namiot

dowództwa. Tam wpuszczani są tylko oficerowie i zaproszeni cywile. Widać jednak, że są to ludzie ściśle związani z wojskiem.

Tak jak żołnierze czuwają nad porządkiem, tak są ludzie odpowiedzialni za program artystyczny. Najważniejszy jest jednak prowadzący, który zachęca wszystkich widzów do dopingowania swoich żołnierzy. Ci stoją i czekają na rozpoczęcie właściwego przedstawienia. Na razie prowadzący podaje bojowe okrzyki, które na jego znak powtarzane są przez widzów. To niesamowite słyszeć wyrywające się z tysięcy gardel głosy. Tym bardziej, że zamknięty obiekt powoduje odbijanie się głosów i ich potęgowanie. Po drugiej stronie granicy widzowie zachęceni przez ich prowadzącego gdy tylko usłyszą krzyki z naszej strony odpowiadają podobnie. Już wiem, że w tym wszystkim chodzi o to, która strona będzie głośniejsza. Bo to ma być bitwa na głosy. Chodzi o pokazanie drugiej stronie kto ma większą wolę walki.

Aby wypełnić czymś czas zanim wejdą wszyscy prowadzona jest zabawa. Najpierw chętne kobiety i dzieci dostają kilka flag indyjskich i biegają w rytm muzyki i dopingowania widzów. Śpiewy momentami są tak głośne, że porywają wszystkich zgromadzonych na trybunach. Coś niesamowitego. Atmosfera została tak podgrzana, że powoli te uniesienia zaczynają udzielać się nawet nam, nie bardzo wiedzącym o co chodzi. Później wszyscy tańczą jakby oszaleli. No i wreszcie wchodzi kompania honorowa. Co dziwne wcale nie są oni ubrani w jednakowe mundury. Najpierw pojedynczo, później parami, żołnierze podchodzą pod bramę by pokazać sąsiadom z drugiej bramy jacy są hardzi. Oczywiście swoją „pogardę” w stosunku do drugiej strony pokazują stosownymi gestami i wyrazem twarzy. Tamci odpowiadają w ten sam sposób. W końcu gdy już zaprezentują się wszyscy żołnierze następuje najważniejsza część ceremonii – uroczyste zdjęcie dumnie powiewających do tej pory flag na masztach. Aby jednak nie było zgrzytów flagi muszą zjeżdżać z masztów równiutko. Wymaga to dużego skupienia żołnierzy odpowiedzialnych za tę czynność. W końcu gdy flagi są już zdjęte następuje uroczyste zamknięcie, otwartych na czas przedstawienia, bram po obu stronach granicy.

Po zakończeniu ceremonii zamknięcia granic wszyscy ruszają w stronę garaży by dostać się do swoich samochodów. Nie jest to takie łatwe, gdyż tysiące ludzi musi przemieścić się w zasadzie jedyną drogą jaka stąd prowadzi. Na szczęście po drodze są rozstawione różne kioski z pamiątkami czy napojami, można więc spokojnie napić się wody, porozmawiać ze spotkanymi ludźmi czy poprosić naszego lidera o wyjaśnienie niezrozumiałych do końca drobiazgów.



Po powrocie do hotelu i odpoczynku idziemy do pobliskiej restauracji coś przekąsić. Gdy już zapadł zmrok, wyruszamy by ponownie spróbować wejść do świątyni. Wczoraj nam się to nie udało. Mamy nadzieję, że tym razem wiernych nie będzie już tak dużo. I faktycznie, gdy tam dotarliśmy, okazało się, że co prawda ludzi jest sporo ale nie tyle co poprzednio. Ustawiamy się w kolejkę i powolutku zbliżamy się do świątyni. Nagle dostrzegamy, a właściwie najpierw słyszymy jakieś śpiewy dobiegające z przodu. To śpiewają wierni idący ze świątyni w naszą stronę. Okazuje się, że niechcący trafiliśmy na moment uroczystego wynoszenia ze świątyni złotej księgi. Właśnie wierni zbliżający się do nas niosą na ramionach ową księgę. Co chwilę zmieniają się. Początkowo myśleliśmy, że chodzi o to by jak najwięcej osób dostało zaszczytu niesienia złotej księgi. Później okazało się, że jest ona tak ciężka, że po prostu żaden mężczyzna nie da rady dłużej jej nieść jak kilka minut.

Gdy ludzie niosący księgę minęli nas kolejka jakby trochę przyspieszyła. Zaraz dotarliśmy do świątyni. Teraz mogliśmy zobaczyć z jak wielkim przepychem ozdobiono to miejsce. Wszędzie lśni złoto. Ale także wszędzie siedzą święci mężowie czytający księgi, i wszędzie przybyli tutaj wierni przekazują stosowne datki. Zwiedzamy świątynię zaglądając w każdy dostępny zakamarek. Wchodzimy na pięterko, gdzie z tarasów widzimy budowle wzniesione po drugiej stronie

jeziora. W wodzie odbijają się ich kontury oświetlone latarniami. Jest cudownie, niestety pora jest dosyć późna, musimy zatem wracać do hotelu.

Dzisiejszy dzień był pełen atrakcji, zobaczyliśmy niesamowite widowisko, przeżyliśmy chwile zadumy w świątyni, a do tego okazało się, że był to najgorętszy dzień od naszego tu przybycia. Nic więc dziwnego, że po dotarciu do hotelu wypiliśmy po kilka szklanek wody.

Dzień szósty

Dzisiaj wstałem pierwszy raz nie spocony. Zawdzięczam to nastawionej na maksa klimatyzacji, wspomaganej znajdującym się na wyposażeniu pokoju wentylatorem. Mam jednak wrażenie, że temperatura w pokoju spadła znacznie bardziej jak to było do tej pory. W ogóle jest jakoś tak dziwnie. Na ulicy nie ma ruchu, nikt nie trąbi. Co jest! A może u nich dzisiaj jest niedziela? W każdym razie jest przyjemnie. Odpocząłem. Nie zszedłem na dół by wraz z innymi pójść do świątyni hinduistycznej. Nie interesowało mnie to. Postanowiłem jeszcze poleniuchować. Jak się okazało takich osób było więcej. Każdy chciał odpocząć. Tym bardziej, że Jarek zapowiedział nam, iż musimy wyruszyć godzinę wcześniej niż planowaliśmy. Było to spowodowane zmianą środka transportu. Zamiast jechać autobusem udaliśmy się na lotnisko, gdzie po przejściu odprawy wsiedliśmy do samolotu. Fakt ten znacznie przyspieszył przemieszczenie się do kolejnej miejscowości. Pozwoliło nam to także jeszcze bardziej odpocząć. A przybycie o kilka godzin szybciej umożliwiło znalezienie dobrych a niedrogich noclegów. Sam lot trwał około godzinki.

Wylądowaliśmy w stolicy Kaszmiru – Śrinagarze. Skorzystaliśmy z usług stojących tu busików i dotarliśmy do przystani nad jeziorem Dal. Jadąc już widzimy jak wielki jest to zbiornik wodny. Zaskoczeniem jest fakt cumujących przy brzegach wielkich łodzi. Są ich tutaj setki. Większość znajduje się albo po drugiej stronie jeziora albo przy widocznych zielonych wysepkach. Okazuje się, że przez kilka najbliższych dni naszym domem będą właśnie te łodzie. Czekający na nas na przystani ludzie zapraszają do małych łódek, którymi przewożą nas do bazy. Musimy uważać bo łódki, którymi płyniemy niebezpiecznie się kołyszą. Wygląda jednak na to, że obsługa wie co do nich należy. Docieramy bezpiecznie do łodzi, na których mamy być zakwaterowani. Jest ich tutaj kilka. Musimy się podzielić na grupy, gdyż wszyscy nie zmieścimy się na jednej łodzi, mimo że nie należy ona do małych jednostek. Kobiety zostają na pierwszej łodzi, a my przechodzimy po drewnianych pomostach

do drugiej. Ta okazuje się nieco większa, dlatego będziemy mieszkać wraz z miejscowymi gośćmi.



Gdy tylko się rozgościliśmy i nieco odpoczęliśmy wyruszamy trzema wynajętymi łodziami w rejs wokół jeziora. Jest fajnie, można się położyć wygodnie na rozścielonych w łódkach dywanach. Można nawet zdrzemnąć się trochę. Nie warto jednak tracić pięknych widoków. I nie mówię tutaj o majaczących na horyzoncie górach. Chodzi o mijane łodzie. Każda z nich jest zagospodarowana. Większość z nich służy albo za bazy dla turystów albo do celów mieszkalnych dla ich właścicieli. Ponoć na milion mieszkańców 10% mieszka właśnie na tych łodziach. Ciekawym jest fakt, że mimo tak dużego skupiska, co wiąże się z „produkcją” zanieczyszczeń, woda w jeziorze wydaje się być czysta. Ba, wszędzie rosną tutaj jakieś rośliny, widać wiele pływających zielonych wysepek pokrytych kolorowymi kwiatami. Na części łodzi działają zakłady rzemieślnicze. Są także restauracje i sklepy. Mało tego co chwilę podpływają do nas małe łódki wypełnione wszelkiego rodzaju towarami, które nam są oferowane. Widzimy nawet łódkę, na której płonie małe ognisko. Można z niej nabyć coś do jedzenia czy ciepłą herbatę.

Mijamy liczne kanały utworzone pomiędzy wyspami, na których pozakładano ogrody warzywne. W końcu docieramy do celu naszej dzisiejszej przejażdżki. Jest to spory budynek postawiony na wysepce, w którym znajduje się zarówno zakład rzemieślniczy jak i sklep. To tutaj produkowane są dywany kaszmirskie. Najpierw jesteśmy zaproszeni do małego pomieszczenia, w którym możemy zobaczyć jak robi się takie dywany. Dociera wtedy do nas jak wiele wymaga pracy stworzenie takiego cuda. Jesteśmy pod wrażeniem. W drugim pomieszczeniu po poczęstowaniu nas herbatą możemy obejrzeć dziesiątki gotowych dywanów. Okazuje się, że można tutaj wybrać sobie któryś i zlecić przesłanie go na nasz domowy adres. Zresztą nie tylko dywanów, w magazynie znajdują się tysiące różnych produktów mogących być ozdobą niejednego wnętrza.

Podczas gdy po wyjściu z magazynu zakładamy zdjęte uprzednio buty, na łódce zacumowanej na drugim brzegu widzimy mężczyznę palącego fajkę wodna. Wygląda, że sprawia mu to przyjemność. My musimy wracać na kolację.

Jesteśmy zaproszeni do stołówki przyległej do kuchni. Gdy tylko zjawiamy się na stołach pojawiają się garnki z ciepłym posiłkiem. Tym razem mamy ryż, kawałki pieczonego kurczaka, soję, ogórki, pomidory i warzywa, których na razie nie potrafimy rozpoznać. Rewelacją była herbata z kardamonem.

Jeszcze nie skończyliśmy kolacji a już pojawili się pierwsi sprzedawcy proponujący swoje towary. Muszę przyznać, że potrafią namówić do zakupu nawet osoby niezainteresowane.

Musimy iść spać, gdyż rano chcemy popłynąć na targ warzywny. Ponoć to coś niesamowitego. No, na pewno niespotykanego u nas. Pobudkę wyznaczono na 4.00. Niestety w nocy zaczyna padać deszcz, który po krótkiej chwili przemienia się w prawdziwą ulewę. W końcu to pora monsunowa. Gdy już mamy zasnąć słyszymy modlitwę niesioną po wodzie. Na szczęście nie trwa to zbyt długo. O tej porze prąd jest już wyłączony i jeśli zachodzi taka potrzeba trzeba korzystać z latarek.

Dzień siódmy

Wreszcie zasnęliśmy. Niestety, zaraz jesteśmy budzeni. Myślimy co jest? Po chwili dochodzimy do siebie. Faktycznie, przecież umawialiśmy się na nocny wypad. Chęć zobaczenia czegoś nowego przeważa. Wsiadamy do łódek i płyniemy na targ warzywny. Podróż ma trwać dosyć długo dlatego rozkładamy się na dywanach i po chwili zasypiamy ponownie. Kołysanie łódki i szum fal, powodują, że jest całkiem przyjemnie. Do tego panują jeszcze całkowite ciemności. Widać tylko latarki

mijanych łodzi. Gdy wstaje dzień jesteśmy już na targu. Otwieramy oczy i widzimy dziesiątki łodzi wypełnionych towarem. Bo nie tylko warzywami się tu handluje. Można kupić kwiaty, owoce, herbatę ale także np. zegarki. Wszędzie pełno turystów, chcących tak jak my, zobaczyć to widowisko. Bo myślę, że dzisiaj jest to bardziej widowisko dla turystów niż prawdziwy targ. Chociaż oczywiście odbywa się tu wiele transakcji. Widać jak towary zmieniają właścicieli. Często jest to handel wymienny, towar za towar. Najwięcej sprzedawców oferuje nasiona kwiatów. Takiego wyboru trudno oczekiwać w normalnych sklepach.

Po dłuższym czasie mamy dosyć, zwłaszcza, że oferujący różne towary są coraz bardziej namolni. Wracamy. Na śniadanie podają nam omlet i placki z dżemem. Super. Bardzo nam smakowało. Mam nadzieję, że wystarczy nam sił do obiadu. Zaraz płyniemy do przystani gdzie czeka zamówione auto. Naszym celem jest położona na widocznej górze świątynia hinduska Shankaracharya. Ponoć jedna z najstarszych w Indiach. Początkowo jedziemy wokół jeziora, po kilku kilometrach skręcamy w boczną drogę, która staje się coraz bardziej stroma. Niestety okazuje się, że nie ma możliwości dojechania na samą górę. Zostajemy zatrzymani przy posterunku wojskowym i poproszeni o pójście dalej pieszo. Mało tego, zostajemy prześwietleni i zrewidowani. Musimy pozostawić aparaty fotograficzne i telefony komórkowe. Możemy zabrać z sobą tylko plecak z wodą i zapasowym ubraniem. Na szczęście nie każą nam zdejmować butów.

Idziemy pod górę, najpierw pokonujemy kamienne schody, później podążamy krętą drogą prowadzącą do zbudowanej na górze świątyni. Mamy do przejścia kilka kilometrów, tam i z powrotem. Razem z nami podążają setki ludzi. Wreszcie docieramy pod świątynię. Tam musimy zgodnie z miejscowymi zwyczajami, zdjąć buty i do jej wnętrza wchodzimy boso. Przed wejściem potrząsamy zawieszonymi nad naszymi głowami dzwonkami. Tak robią wszyscy. Widocznie ma to jakieś znaczenie. Wchodzimy do świątyni. W środku siedzi brodaty gościu i coś mruczy pod nosem. Wszyscy obchodzą go dookoła zostawiając datki. Jest ciasno. Pomieszczenie jest niewielkie a chętnych do wejścia sporo. Staramy się w miarę szybko wyjść by zrobić miejsce innym. Przechodzimy do usytuowanej poniżej grotty, w której medytował któryś z mędrców. W końcu odpoczywamy chwilę na placu i schodzimy do naszego autobusu. Przejeżdżamy kawałek dalej by udać się do ogrodu. Jest to pierwszy z dwóch jakie mamy obejrzeć tego dnia. Ten jest niewielki. Korzystamy z tego, że znajduje się tu herbaciarnia i zamawiamy coś do picia. Później spacerujemy tak jak wielu innych podziwiając piękne rośliny. Docieramy na samą górę gdzie płynący strumień wypływa z pod ziemi. Obmywamy sobie tak jak inni

nogi w zbiorniku wykonanym przy samym wypływie. Faktycznie miejsce to uspokaja i daje zachętę do dalszego spaceru. To tutaj zsuwa mi się z paska kupiony na wyprawę aparat fotograficzny i spada na betonową płytę. Już myślałem, że będzie po nim. Na szczęście tylko trochę poobijał się, uszkodziło się jedynie gniazdo do ładowania. Miałem z tym problem do końca wyprawy.



Przed wejściem do drugiego, znacznie większego ogrodu, można kupić w ustawionych tam straganach właściwie wszystko. Tak jak do poprzedniego tak i tutaj za wstęp trzeba zapłacić. Są to jednak groszowe sprawy. Ten ogród ma kształt prostokąta. Jest bardzo wąski. Tutaj także osią ogrodu jest woda ujęta w kamienny kanał. Całość ma wyraźny podział na dwie części. Kiedyś pierwsza była ogólnodostępna, druga zaś jako prywatna była zarezerwowana wyłącznie dla rodziny cesarskiej. Dzisiaj można zwiedzać obie części. Widzimy tu potężne drzewa. Nigdy nie widziałem takich wielkich pni.

Gdy chodzimy zaczepia nas jakiś mężczyzna opowiadając, że dawniej zajmował się tym ogrodem. Robimy sobie pamiątkowe zdjęcia i dajemy mu jakieś drobne. Dziwna sprawa. Uprzejmy jegomość, gdy podchodzą do nas dzieci, przegania je krzycząc i opluwając je. W sumie nie znamy przyczyny jego zachowania.

Zostawiamy go i wchodzimy do murowanego obiektu postawionego nad strumykiem. Wysłuchujemy tam występu kilku muzyków i na tym kończymy oglądanie ładnie utrzymanego miejsca.

Wracając do miasta docieramy do meczetu. Dostajemy stosowne nakrycia głowy. Mężczyźni czapeczki, kobiety chusty. W świątyni pozostawiamy obuwie i wchodzimy do sali, na podłodze której ułożono setki małych dywaników. To miejsca dla modlących się tutaj mężczyzn. Panie zostały skierowane do oddzielnego pomieszczenia. Nie wolno im się modlić w jednym pomieszczeniu wraz z mężczyznami.

Po tak pracowicie spędzonym dniu wracamy na naszą łódź mając nadzieję, na zasłużony odpoczynek. Niestety nie do końca nam to wyszło. Postanowiliśmy zorganizować jakiś wieczór integracyjny. Wypadałoby zakupić coś mocniejszego niż tradycyjna herbatka. Aby nie tracić czasu podejmujemy decyzję, że na zakupy popłynie Jarek. Pomyślałem sobie, że lepiej będzie jak będę mu towarzyszył. Lista zakupów jaką szybko zrobiliśmy była dosyć długa. Przygotowaliśmy plecaki i gdy mieliśmy wsiadać do łódki zaczął padać deszcz. Nasi opiekunowie powiedzieli, że teraz nie można wypływać na jezioro bo to zbyt niebezpieczne. Faktycznie, po chwili deszcz przemienił się w ulewę. Okazało się, że wystarczyło nieco ponad pół godziny opadu aby poziom jeziora podniósł się widocznie. Wszystko było zalane.

Ponieważ wszyscy oczekiwali, że wywiążemy się z obietnicy postanowiliśmy jednak popłynąć do miasta. Poproszony o przewiezienie na brzeg poprowadził nas do miejsca gdzie stała zacumowana łódka. Okazało się, że została ona zatopiona. Nie było to jednak żadną przeszkodą. Zaraz ktoś przyniósł jakieś dzbanki i szybko wylano wodę z łódki. Nie bardzo byliśmy przekonani co do bezpieczeństwa akurat tej łódki ale wsiedliśmy do niej. Od razu tego pożałowaliśmy. Woda jeziora sięgała niemal do burt. Ze strachem w oczach patrzyliśmy jak wypływamy na jezioro. Na szczęście doплыliśmy do przystani cali i zdrowi. Dopiero teraz kiedy znaleźliśmy się na chodniku zobaczyliśmy jakie szkody wyrządziła ulewa. Całe miasto położone na zboczach widocznych gór było zalane wodą ze szlamem. Wszystkie ulice były pod wodą. Chcąc, niechcący, ruszyliśmy na poszukiwanie, ponoć jedyne sklepu z wyrobami alkoholowymi w tym milionowym mieście. Zgodnie z uzyskanymi informacjami skręciliśmy w prawo rozglądając się za naszym sklepem. Gdy zeszliśmy z chodnika wpadliśmy niemal po pas w zamuloną wstrętną wodę. Uznaliśmy jednak, że na chodniku po drugiej stronie ulicy powinno być lepiej. Musieliśmy tylko uważać na pędzące co jakiś czas pojazdy. Te nawet nie zwalniały bojąc się zalania silników. Widząc jak się zmoczyliśmy jakiś przechodzień powiedział

nam żebyśmy schodząc z chodnika stawiali jak największy krok gdyż zaraz przy krawężniku jest spory rynsztok. Tak też czyniliśmy przy każdym wjeździe do posesji. Po jakimś kilometrze uznaliśmy, że chyba przegapiliśmy nasz sklep i zawróciliśmy. Nie poddawaliśmy się, jednak po kilkukrotnym przejściu głównej ulicy tam i z powrotem uznaliśmy, że mamy dosyć. Na szczęście jeden z pytanych przechodniów wiedział o jaki sklep nam chodzi i wskazał drogę. Okazało się, że sklep monopolowy to zwykły garaż usytuowany obok ekskluzywnego hotelu. Nic dziwnego, że nie mogliśmy go wypatrzyć. Trochę przeraziła nas kolejka jaką zobaczyliśmy pod sklepem. Przecież muzułmanom nie wolno spożywać alkoholu. Okazuje się, że zasady zasadami, a życie życiem. Co prawda zauważyliśmy, że miejscowi kupują małe buteleczki o pojemności 0,2 litra. Gdy podeszliśmy pod zakratowane okienko otworzyły się drzwi i zaproszono nas do środka. Myśleliśmy początkowo, że sprzedawcy zachowali się bardzo uprzejmie, szybko jednak dotarło do nas, że to czysta kalkulacja. Oni doskonale wiedzą, że biały nie przychodzi po małą buteleczkę, zwłaszcza gdy niosą plecaki. Zaraz zaprezentowali nam co mają najlepszego i zgodnie z listą zakupiliśmy wszystko co zostało zamówione. Teraz pozostało tylko bezpiecznie powrócić na łódź i jak najszybciej wziąć ciepłą kąpiel. Odświeżeni założywszy czyste ubrania wreszcie mogliśmy usiąść wygodnie w fotelu i spróbować miejscowego specjału. Był to rum indyjski.

Dzień ósmy

Nie dość, że poszliśmy spać bardzo późno, nie dość że byliśmy bardzo zmęczeni, to gdy tylko udało nam się usnąć, obudził nas śpiew nadawany przez głośniki. To znowu odmawiano modlitwę. Jest czwarta w nocy. Oszaleli. Próbujemy ponownie zasnąć. Jakoś udaje nam się to. Rano, tak koło ósmej wstajemy by udać się na śniadanie. W stołówce nic nie jest przygotowane. Okazuje się, że obsługa zasnęła. Czekamy dobrą godzinkę i wreszcie zapraszają nas na śniadanie. Może to i dobrze bo przecież nigdzie się dzisiaj nie spieszymy. Mamy w dalszym ciągu zwiedzać miasto. Najpierw jedziemy do muzeum regionalnego. Płacimy po 50 rupii wstępu i oglądamy ekspozycję z wykopalisk prowadzonych przez Służbę Archeologiczną Indii. Widzimy sporo różnych artefaktów. Niektóre mają ponad tysiąc lat. Niestety wiele eksponatów jest nieopisanych, nie możemy zatem dowiedzieć się co właściwie oglądamy.

Dalej idziemy pospacerować po drugiej stronie rzeki. Ma to związek z nocnymi wydarzeniami w mieście, o których poinformowała nas obsługa hotelu. Okazało się, że miała miejsce jakaś potyczka. Ponoć żołnierze zastrzelili kilku „partyzantów”. Dlatego odradzano nam spacer w rejon starego miasta. Kluczając bocznymi uliczkami

docieramy do ładnego budynku, w którym prowadzona jest herbaciarnia. Postanawiamy skorzystać z okazji i skosztować miejscowej herbaty. Okazuje się, że wybór herbat jest tutaj tak duży, że trudno się zdecydować na konkretny gatunek. Na szczęście obsługa pomaga nam w tym. Jak się okazało wszystkie zamówione herbaty były bardzo smaczne.

Gdy się rozglądamy po lokalu dostrzegamy powieszony na sztalugach w drugim pomieszczeniu fotografie przedstawiające góry. Coś pięknego a zarazem wspaniałego. Widoki jakie oglądamy są niesamowite. Po chwili pojawia się właściciel obiektu i zaprasza nas na dół do jego sklepu fotograficznego. Ma tam sporą kolekcję starego sprzętu fotograficznego. Do tego dziesiątki reprodukcji starych zdjęć z gór. Wiele z nich tak się nam podoba, że kupujemy je. Będziemy mieli ciekawe pamiątki.

Na łódź wracamy około ósmej wieczór, tak jak się umawialiśmy na kolację. Tym razem czekała nas miła niespodzianka. Córka gospodarzy kończy 13 lat. Jest to bardzo ważne wydarzenie w jej życiu, jak i w życiu całej rodziny. Ponoć staje się ona dorosła i trzeba pomyśleć o jej przyszłości, czyli wybrać dla niej męża. Jest tort, są świece, śpiewamy sto lat, przekazujemy gratulacje i stosowne życzenia. Rodzice dziewczynki postanowili planowaną uroczystość przenieść z domu na łódź tak byśmy mogli wziąć w niej udział. Zaskoczeniem dla nas był sposób poczęstunku. Gdy dziewczynka zdmuchnęła świece, pokrojono tort i poczęstowano nim obecnych. Najpierw jednak ona brała w dłoń kawałek tortu i podawała każdemu gościowi do odgryzienia kęsa. Dopiero wtedy każdy dostawał talerzyk i resztę tortu. Ponieważ wieczór był bardzo ciepły przyjęcie zostało zorganizowane na tarasie nad wodą. Wszystko odbywało się w świetle latarni i świec. Ta miła dla nas niespodzianka kosztowała nas sporo nerwów. Bo jak mogliśmy odwdziżyć się za zaproszenie na takie rodzinne przyjęcie i jaki mogliśmy w tej sytuacji podarować prezent jubilatce. Przecież jesteśmy w podróży. Po przejrzeniu zawartości naszych plecaków i cichych konsultacjach najlepszy okazał się duży słoik dżemu truskawkowego. Mimo naszych obaw było to trafione i przyjęte z radością. Bo, jak się okazało, był to drobiazg pochodzący z Polski czyli kraju, z którego przybyliśmy, do tego smakowo zupełnie odbiegający od podobnych wyrobów produkowanych w Indiach. A poza tym chodziło o sam gest. To było dla wszystkich najważniejsze. To, że nasze życzenia były szczerze i serdeczne. I, że cieszyliśmy się razem z nimi. Dalsze rozmowy pozwoliły nam poznać wiele innych ciekawych zwyczajów tu obowiązujących.

Dzień dziewiąty

Z samego ranka jedziemy dalej. Mamy udać się w rejony gdzie w 1995 roku zaatakowano grupę turystów. Od tamtej pory, przez wiele lat, ludzie tam nie jeździli w obawie o swoje życie. Niestety po podziale Indii część terytoriów pozostała w składzie tego państwa, część przypadła Pakistanowi. Nie obyło się bez walk. Czasami dochodziło do rzezi na mieszkańcach innych wyznań niż to przeważające w danym regionie. Właściwie to wciąż teren ten znajduje się w stanie wojny. Wszędzie widać posterunki wojskowe. Czasami ma się wrażenie, że żołnierzy jest tutaj więcej niż mieszkańców.

Dopiero w ostatnich latach ponownie pojawiły się tutaj grupy turystyczne. Zwiedzanie tych terenów nie jest jednak łatwe. Niemal we wszystkich newralgicznych punktach są kontrole tak jak na prawdziwej granicy. Pierwszą taką przeszliśmy na granicy dystryktu. Okazało się, że mieliśmy szczęście, gdyż nasz kierowca, którego dostaliśmy razem z wypożyczonym busem, doskonale znał nie tylko panujące tu zwyczaje, ale także niektórych dowódców posterunków. Było to bardzo pomocne w dalszej drodze. Dzięki temu często nie czekaliśmy w długich kolejkach do kontroli tylko przejeżdżaliśmy przez posterunki w miarę rozsądnym czasie.

Jedziemy drogą zbudowaną w dolinie rzeki Sin doływu Delman. W zasadzie to wszystkie tutejsze drogi budowane są wzdłuż rzek. Inaczej się po prostu nie da. A rzeki, ze względu na góry, są bardzo rwące. Pokonywanie ich w bród raczej nie wchodzi w grę. Dlatego wszędzie widać mosty, wszędzie buduje się nowe, zarówno mosty jak i drogi. Jeśli chodzi o te pierwsze to z reguły są to bardzo solidne konstrukcje stalowe. Nie widać żadnego bzdiewia. Drogi też są budowane solidnie.

Z ciekawością oglądamy wyłaniające się z oparów góry. Robią na nas wrażenie. To nie nasze Karkonosze. Mijamy miejscowość Kangas. Widać jak otwierają się pierwsze sklepy. Tutaj w Indiach w mniejszych miasteczkach, chociaż co to znaczy mniejsze miasteczko, przecież to kraj, w którym żyje ponad miliard ludzi. Więc te mniejsze miasteczka często są wielkości naszych największych aglomeracji miejskich. Wracając jednak do rzeczy. W Indiach sklepy przeważnie wyglądają jak boks garażowy. Jedno pomieszczenie wielkości właśnie garażu zamykane rolowaną bramą. Nigdzie nie widać by były w nich jakieś pomieszczenia socjalne. Toalety są przeważnie gdzieś z tyłu a i to jedna na wiele obiektów. Przeważnie taka toaleta to budka zbita z desek, są jednak porządne murowane budynki z wieloma toaletami

podzielonymi na damskie i męskie. Chociaż w zasadzie w środku prawie niczym się nie różnią.

Po kilkudziesięciu kilometrach droga zaczyna piąć się ostro pod górę. Robi się coraz bardziej niebezpieczna. Po obu jej stronach co jakiś czas widzimy ciekawe napisy w dowcipny sposób zachęcające kierowców do ostrożnej jazdy.

Przekroczyliśmy 2 tysiące metrów n. p. m., zaczyna zatykać nam uszy. Zgodnie z zaleceniem pijemy coraz więcej płynów. W zasadzie to nie rozstajemy się z butelkami z wodą, w której za każdym razem rozpuszczamy witaminy i magnez. Wysoko na wierzchołkach gór dostrzegamy pierwszy śnieg. Trasa do miejscowości Leh uważana jest za jedną z najpiękniejszych na świecie. Mamy czym sycić swoje oczy.

Kolejny punkt kontroli dokumentów spotykamy przed miejscowością Sonawar leżącej na wysokości 2740 metrów. Wkrótce docieramy do punktu widokowego, z którego rozciąga się piękny widok na główny grzbiet Himalajów. Wciąż pniemy się pod górę. Jest coraz stromiej. Droga wyraźnie zwęża się. Na zboczach widzimy pasące się konie. Z góry wyglądają one jak małe psy.

I stało się to co było pewne. Skończyła się normalna droga. Dalej pojedziemy drogą gruntową wyglądającą jak wertepy. Nasza szybkość wydatnie zmalała. Gdy sprawdzimy wieczorem to średnia prędkość nie przekroczyła 25 km na godzinę. I tak będzie już na stałe. Nie przejmujemy się tym zbytnio gdyż ważniejszym od prędkości jest podziwianie tych wspaniałych krajobrazów. Przecież po to tutaj przyjechaliśmy.

Dojeżdżamy do przełęczy znajdującej się na wysokości 3500 metrów. To już nie przelewki. Większość z nas nigdy w życiu nie była tak wysoko. Zaczynamy odczuwać skutki przebywania na takiej wysokości. Robi się zimno. Widzimy jak po lodowcu, który spłynął z najbliższej góry, turyści zjeżdżają na sankach. To niesamowite. Wystarczyło trochę lodu i śniegu a już pojawiły się tu firmy oferujące skutery śnieżne i sanki. Jak widać mają więcej chętnych niż wynosi ich moc przerobowa. Wszyscy korzystają. Zarówno firmy wypożyczające sprzęt jak i pobliskie bary i przydrożne budki.

Docieramy do granicy Kaszmiru, mamy coraz bliżej głównej grani Himalajów. Wydaje nam się, że czujemy już „oddech” najwyższych gór świata, chociaż one tak naprawdę są jeszcze daleko stąd.

Zatrzymujemy się przy namiocie oferującym herbatę. Robimy zdjęcia i próbujemy nieco odpocząć.



Dojeżdżamy w pobliże linii demarkacyjnej. Jesteśmy w miejscowości Dras na wysokości 3200 metrów n. p. m. Dowiadujemy się, że miejsce to znane jest jako jedno z najzimniejszych na świecie zamieszkałych stale przez ludzi. Ponoć w 1995 roku temperatura spadła tutaj do -60 stopni C. Mamy nadzieję, że podczas naszego pobytu tak nie będzie. Robimy sobie zdjęcia z żołnierzami, którzy, mimo, iż pilnują okolicy uzbrojeni po zęby, bardzo chętnie zgadzają się na wspólne fotografie. Zawsze są wtedy uśmiechnięci.

Podczas podróży widzimy dwie rzeczy, które bardzo nas intrygują. Okazuje się, że w tak niesprzyjających dla ludzi warunkach prowadzone są tu wielkie inwestycje. Pierwsza to oczywiście budowa dróg bez których niemożliwym byłoby przemieszczanie się zarówno ludzi jak i przewożenie towaru. Wszędzie, praktycznie na każdej drodze spotykamy grupki ludzi pracujących przy ich budowie. Na wzgórzach zaś widzimy jak powstają wielkie fundamenty, na których montowane są olbrzymie maszty potrzebne do zawieszenia linii przesyłowych. Czyli drogi i prąd. To jest tutaj priorytetem. I słusznie.

Przekraczamy rzekę Garu Ru. Musimy bardzo uważać gdyż drogą pędzone jest spore stado owieczek. Zwierzęta przyzwyczajone do ruchu kołowego wcale się nie boją samochodu i tak naprawdę wcale nie kwapią się do przepuszczenia nas. Jakoś z pomocą pastucha prowadzącego stado udaje nam się w końcu je wyminąć. Możemy nieco przyspieszyć. Widzimy namioty rozbite na zboczach i w dolinach. Tam mieszkają ludzie, którzy tu pracują w sezonie letnim oraz ci, którzy wypasają bydło. Aż dziw bierze jak w tak wydawałoby się niedostępnych miejscach ustawili oni swoje namioty. Zastanawiamy się także jak oni w ogóle tam wchodzą. Z naszej perspektywy wydaje się to być niemożliwe.

Po obiedzie docieramy do miejsca najwyżej położonego pola bitwy. Szukamy jakiegoś noclegu. Ponieważ okazuje się, że noclegi zamówione dużo wcześniej często bywają nieadekwatne do ich ceny lepiej jest czasami szukać miejsca do spania z marszu. Można wtedy za te same pieniądze znaleźć coś o lepszym standardzie. Niestety czasami można tego żałować. Tym razem wybraliśmy bardzo porządnie wyglądający hotel w centrum miasta. Jednak ceny tam proponowane (100 dolarów za nocleg) były nie do przyjęcia. Dlatego poprosiliśmy o zezwolenie na pozostawienie naszego samochodu na ich parkingu i nasz lider udał się na poszukiwanie czegoś tańszego. Trochę to trwało. Kilka razy wracał do pierwszego hotelu, w którym pytano go czy już coś znalazł. W końcu, tak jak było do przewidzenia, zaproponowano naszej grupie noclegi po 40 dolarów. To też było dużo drożej niż płaciliśmy do tej pory jednak nie było sensu przeciągać sprawy. Raz, że byliśmy zmęczeni, dwa, że hotel wyglądał na luksusowy. I faktycznie gdy rozlokowaliśmy się po pokojach okazało się, że jest to najlepszy obiekt w okolicy. Pokoje były bardzo dobrze wyposażone. Z okien mieliśmy wspaniałe widoki na płynącą rzekę i usytuowaną po drugiej stronie elektrownię. W łazience były nawet szczoteczki do zębów, grzebienie i maszynki do golenia. Uznaliśmy, że lepiej nie mogliśmy trafić. W końcu po kilku dniach wędrówki należała nam się odrobina luksusu.

Zanim jednak poszliśmy spać postanowiliśmy zwiedzić miasto. Ze względu na jego położenie nad bardzo rwącą rzeką trzeba było wybrać wariant pieszej wędrówki. Zajęło to nam dobrych kilka godzin. Przeszliśmy w sumie około 10 km ale było warto. Najpierw weszliśmy do świątyni. Jak zwykle musieliśmy rozstać się z naszym obuwiem. Nie było jednak problemu bo wszystko było zasłane dywanami. Opiekun tego miejsca opowiedział nam o obowiązujących tu zasadach. Dowiedzieliśmy się, że każdy kto nie ma gdzie spać może przyjść tutaj i odpocząć. Oczywiście zupełnie za darmo. To dobra wiadomość. Warto wiedzieć o takiej możliwości.



Po wizycie w świątyni udaliśmy się na targ. Czego tam nie sprzedawano. Nas zaciekawiały płonące szaszłyki i pieczone kawałki mięsa. Wszak od naszego przybycia do Indii w zasadzie spożywaliśmy posiłki wegetariańskie. Jednak gdy zobaczyliśmy stragany z mięsem przeszła nam ochota na skosztowanie tych przysmaków. W oknach straganów wisały jakieś kawałki mięsa po których łąziły stada wielkich much. Do tego ozdobą każdego stoiska były ułożone przed nim odcięte głowy kóz. Jakoś po takim widoku nie mogłem skusić się na bardzo ładnie wyglądający szaszłyk. Chociaż znalazło się w naszej grupie kilkoro śmiazków, którzy zamówili po porcji. Otrzymali je zapakowane w miejscową gazetę i kartki z zeszytów szkolnych, w których można było przeczytać wypracowania dzieci z angielskiego.

Tego dnia, a właściwie tej nocy, spaliśmy jak nigdy. Łóżka były bardzo wygodne. Odpoczęliśmy za poprzednie dni. Aby jednak nie było zbyt różowo nad ranem poczułem jakieś dziwne bóle mięśni. Najpierw w łydkach i udach, później w ramionach. Taki chodzący ból. Dobrze, że zabrałem z domu maść na tego rodzaju dolegliwości.

Dzień dziesiąty

Nad ranem rzeka wyglądała nieco inaczej, tak normalnie. Wieczorem trochę przerażała. Teraz nie widać było tego mulistego koloru wody. Wstające słońce odbija się w nurcie rzeki. Woda skrzy się srebrem. Powoli ciemności ustępują i wszystko zaczyna budzić się do życia. Widzimy jak z pobliskich domów wychodzą pojedynczy ludzie i wchodzą do rzeki by zrobić poranna toaletę. Najpierw załatwiają swoje potrzeby fizjologiczne, później myją się i czasami gołą. Chociaż niekoniecznie. Całe szczęście, że jesteśmy w eleganckim hotelu i nie musimy robić toalety w ten sam sposób.

Jedziemy dalej. W pewnym momencie ktoś trąbi na nas i kierowca zatrzymuje się. Po chwili widzimy jak do naszego auta jest przelewane z dużych plastikowych beczek paliwo. Okazuje się, że to „przenośna stacja paliwowa”. Cóż za wygoda. Praktycznie można ich zamówić na telefon w dowolne miejsce.

Docieramy do Mulbek. Jest ciepło i z drogi unoszą się tumany kurzu. Kierowca wiele się nie zastanawiając zwalnia i skręca w stronę wypływającej z rury do strumienia wody. Podjeżdża pod nią i powoli wjeżdża samochodem tak by woda umyła jak największą powierzchnię auta. Później wycofuje się, obraca auto i wjeżdża ponownie pod wodę, tym razem tyłem. I już. Autko jest czyściutkie. My poniekąd też. Bo kierowca nie uprzedził nas o swoich zamiarach i otwarte okna zamknęliśmy dopiero wtedy gdy woda zaczęła strumieniami wlewać się do środka. W zasadzie nie było co się gniewać, auto zostało nie tylko umyte ale i schłodzone.

Zresztą szybko nasze zainteresowanie przenieśliśmy na spory monaster zbudowany pod skałą usytuowaną przy drodze. Obejrzeliśmy wewnątrz, dowiedzieliśmy się trochę o tym miejscu. Największe jednak wrażenie wywarła na nas olbrzymia rzeźba, a właściwie płaskorzeźba wykonana w skale. Jest ona głównym punktem świątyni, którą zbudowano wokół niej. Na placu przed nią pierwszy raz użyliśmy młynka modlitewnego. Wreszcie zobaczyliśmy, a właściwie usłyszeliśmy jak on działa. Wszędzie na rozciągniętych linkach są porozwieszane flagi modlitewne. Ponoć takie widoki będą teraz na porządku dziennym. Wszak dotarliśmy do Tybetu. Widać to nawet po strojach mieszkańców, zupełnie innych niż spotykanych dotychczas.

Po drodze mijamy kolejne stado owiec, kolejny usytuowany na wzgórzu klasztor i przyglądamy się miejscowej zabudowie. Domy buduje się tu na zboczach niejako

piętrowo. Wygląda to tak jakby całe zbrocze było złożone z białych lepianek. Żyjący tam ludzie nie mają lekko, zwłaszcza starsi.



Jedziemy na kolejną przełęcz. Tym razem na wysokości 4100 metrów. To już nie przelewki. Zaraz jesteśmy na wysokości 3700. To Danikala. Miejsce to nie jest zbyt dobrze oznaczone. Znajduje się tu mały obelisk, z którego rozciągnięte są linki z flagami modlitwymi. Widok na okoliczne ale także dalsze pasma górskie dosłownie powala.

Ponieważ wyruszyliśmy bardzo wcześnie - dochodzi dopiero ósma rano - stajemy przy pierwszym napotkanym barze by zjeść śniadanie. Najbezpieczniej w takich miejscach jest zamówić nieśmiertelny omlet i czarną herbatę. Później trzeba poszukać usytuowaną gdzieś na tyłach toaletę. Niby można siusiu zrobić przy

drodze ale to tak jakoś głupio. Tym bardziej, że przy drodze widzimy tablicę ostrzegającą kierowców, na której umieszczono napis: „Czas to pieniądze ale życie to klejnot”. Dobrze nie.



Jesteśmy na 4100, to przełęcz Fatula na drodze ze Śrinagaru do Leh. Super widoki. I nie czuję żadnych przykrych dolegliwości. To już koniec naszej wspinaczki. Teraz będzie tylko w dół. Na wysokości 3500 osiągamy La Ma Yum. Najpierw widzimy jak droga wije się po zboczu tworząc wielopiętrowe odcinki, później zachwyceni widokiem miejscowości, wysiadamy z auta i idziemy ścieżką w kierunku monastynu. Oczywiście nie wszyscy, tylko ci najwytrwalsi. Zwiedzamy monastyr. Napotkany mnich pozwolił nam robić zdjęcia. Najpierw jednak zachowujemy się jak dzieci. Kręcimy młynkami modlitewnymi. A jest ich tutaj sporo. Wreszcie nasyciwszy się szumem młynków wchodzimy do środka. Widzimy jak kilku mnichów wykonuje sporych rozmiarów obraz. Jest to bardzo żmudna i długotrwała praca. Obraz bowiem musi być wykonany z drobnego kolorowego piasku. Trwa to nieraz tygodnie a nawet miesiące. Mnisi są jednak cierpliwi. W końcu gdzie im się spieszy. To właśnie jest ich życie. Temu oddają się całkowicie. Gdy widzą, że jakiś turysta chce wykonać zdjęcie odsuwają się nieco by mu to umożliwić. Są bardzo uprzejmi i życzliwi. Gdy tak zastanawiałem się co dalej dzieje się z wykonanym obrazem

powiedziano mi, że gdy dzieło jest ukończone zostaje ono zamiecione i mnisi przystępują ponownie do pracy. I tak w kółko. Ja bym tak nie mógł. Na pewno. Zresztą chyba nikt z nas tak by nie mógł. Przecież to, mówiąc delikatnie, co najmniej dziwne.



Oglądamy cały klasztor, zaglądamy w najgłębsze zakamarki. Przechodzimy wąskimi i ciemnymi korytarzami by dotrzeć na drugą stronę obiektu gdzie ponownie widzimy całe rzędy młynków. A więc znowu zabawa. Oczywiście dla nas, bo miejscowi kręcą młynkami na poważnie. Wszak to młynek odmawia za nich modlitwy. Wygodne, prawda?

Dosyć zabawy. Schodzimy na dół w stronę samochodu. Aby było ciekawiej zapuszczamy się w wąskie przejścia prowadzące często przez domy stojące na zboczu. Gdy już myślimy, że zabłądziliśmy widzimy nasze autko. Dotarliśmy do celu.

Dalsza trasa prowadzi doliną Indusu. Gdy patrzymy w dół widzimy jak szybko płynie tutaj woda. Nie chciałbym wpaść do tak rwącej rzeki. Najdziwniejsze, że wydaje się nam, iż w rzece zamiast wody płynie brudne mleko. Okazuje się, że to porwane przez wodę drobiny pyłu z gór powodują, że woda jest matowa i błyszcząca się w słońcu wywołując takie wrażenie.

Po tak dużej dawce wrażeń stajemy przy pierwszym napotkanym barze. Nie jest on zachęcający ale już zdążyliśmy przyzwyczać się do takiego standardu. Zamawiamy jedzenie i patrzymy jak pracujący przy piecu do wypieków placuszków nakłada na sporą gąbkę ciasto i wkłada je do pieca. Po chwili mamy gotowy wyrób. Oczywiście wszyscy chcemy spróbować tego wypieku. Trzeba przyznać, że bardzo nam smakował. Można było posmarować go dżemem czy miodem albo zjeść z jednym z sosów.



Pora ruszać dalej. Znowu jedziemy wzdłuż Indusu. Podziwiamy jego siłę. Ale po chwili widzimy coś dziwnego. Dotarliśmy do miejsca, w którym do Indusu wlewa swoje wody rzeka Zanskar. Wyraźnie widać, która woda z której pochodzi rzeki. Woda bowiem w Indusie, jak już wspomniałem, jest mleczna, natomiast w Zanskarze normalna, taka jaka powinna być. Widać także, że Zanskar jest większą rzeką i to on powinien dalej nieść połączone wody. Nie wiadomo więc dlaczego uznano, że dalej płynie Indus. Na horyzoncie widać szczyty pasma Ladakhu oraz grzbiet Zanskaru.

Wreszcie docieramy do Lehu – stolicy Tybetu. Znowu wpadamy w kolorowe i ciasne uliczki. Trudno się przecisnąć, jednak nasz kierowca radzi sobie bardzo dobrze. Wreszcie jest hotel. Całkiem przyzwoity. Zostawiamy bagaże i idziemy do miasta. Pełno tu sklepików ale prawie w każdym z nich widzimy ten sam towar. No i ceny podobne. Trzeba się targować. Czasami można zbić ceny do dwóch trzecich. Problem jest taki, że gdy wchodzimy do sklepu wszędzie palą kadzidełka. Ich zapach w połączeniu z zapachem samego towaru często przyprawiają nas o zawrót głowy. Robi się nam jakoś słabo. Najlepiej w takiej sytuacji wyjść od razu na zewnątrz. Raz, że czujemy się lepiej, dwa, że nie kupimy tego czego nie chcemy. Trochę jesteśmy rozczarowani oferowanymi towarami. Jest tu sporo chińszczyzny. Nie ma co, wracamy do hotelu by zjeść kolację i położyć się spać.

Dzień jedenasty

Rano idziemy w stronę górującego nad miastem pałacu Dalajlamy. Jest to właściwie jedyny obiekt, którego nie można pominąć. Niestety zbudowany nad miastem

wymaga sporego wysiłku od chcących go zwiedzić. Trzeba przejść kilka ładnych kilometrów ścieżką biegnącą stromym zboczem, z której osuwają się kamyczki.

Gdy jesteśmy w centrum miasta dzieje się coś dziwnego. Nagle tworzą się potężne korki. Wszystkie pojazdy stają w miejscu. Część kierowców wysiada z samochodów i odchodzi pozostawiając je tam gdzie akurat stanęli. Nie wiedząc co się dzieje ruszamy razem z wszystkimi. Gdy docieramy do głównej ulicy okazuje się - mówi nam to zapytany policjant - że za chwilę przejedzie tędy Dalajlama. Zatem odkładamy na bok nasze plany i czekamy z tłumem na jego przejazd. Po chwili jedzie kawalkada samochodów. Jest ich ze dwadzieścia. W końcu przejeżdża samochód policyjny z czerwoną flagą a za nim kolejny, w którym siedzi Dalajlama. Samochody jadą powoli, tak że wszyscy mogą rozpoznać sylwetkę Dalajlamy siedzącego na przednim siedzeniu obok kierowcy. Zresztą jest on jak zwykle uśmiechnięty i przyjaźnie macha do wszystkich ręką.



Ale mieliśmy szczęście. Zupełnie się tego nie spodziewaliśmy. Teraz zadowoleni ruszamy dalej. Wchodzimy w wąskie uliczki i ciasne przejścia by piąć się pod górę w stronę pałacu pełniącego obecnie rolę muzeum. Kupujemy bilety i możemy zwiedzać do woli. Pałac zbudowany na zboczu posiada 9 kondygnacji. Po kolei

przemierzamy poszczególne piętra wypatrując co na każdym z nich się znajduje. Oglądamy film przybliżający historii zarówno krainy jak samego pałacu. W końcu docieramy na sam dach, z którego możemy obejrzeć panoramę miasta jak i okolicznych pasm górskich je otaczających.

Zanim zejdziemy do miasta pijemy herbatę w restauracji usytuowanej przed wejściem do pałacu a później górską, krętą i niezwykle stromą oraz śliską ścieżką wspinamy się na szczyt, na którym znajduje się mała świątynia. Przebywający tam mnich kasuje za wstęp i ułatwia się. Dalej musimy sobie radzić sami. Warto jednak było tutaj przyjść. Widok stąd jest wprost nie do opisania. Patrzymy na szczyty otaczające Leh oraz na te położone nieco dalej mające białe wierzchołki od zalegającego na nich śniegu. To są już siedmiotysięczniki. To Himalaje.

Po nasyceniu się pięknem krajobrazu schodzimy ostrożnie na dół i dajemy sobie wolne na zakupy. Prawie każdy z nas chce coś nabyć by przywieźć do domu jakąś pamiątkę dla swoich bliskich. Dzielimy się na mniejsze grupki i próbujemy swoich sił w negocjacjach cenowych. Ja chciałem kupić szal paszmirski ale okazało się, że tutaj jest on niemal dwa razy droższy niż w Delhi. Nie ma zatem co przepłacać. Kupię go w drodze powrotnej. Na razie udaje nam się obniżyć ceny na koszulki, ciepłe skarpety i czapki. W drodze powrotnej wchodzimy do sklepu z pięknymi ręcznie robionymi torebkami tybetańskimi. Naprawdę są ładne. Warto było się potargować. Ich cena spadła o jedną trzecią. Obsługujący nas mężczyzna zaprosił na herbatkę. Co prawda nie byliśmy spragnieni ale wytłumaczył nam, że takiej herbaty nie skosztujemy w całym mieście. Trochę trwało jej przygotowanie ale gdy w końcu skosztowaliśmy jej wiedzieliśmy, że miał rację. Poprosiliśmy o przepis i nabyliśmy u niego najważniejszy składnik – szafran. Niestety na szafranie nie bardzo chciał nam zejść z ceny. Dopiero gdy kupiliśmy kilka dużych opakowań dostaliśmy lekki upust. Aby pokazać, że to prawdziwy szafran zbierany i suszony tutaj na miejscu dał nam na języki po dwa pręciki i podał lusterko. Zobaczyliśmy w nim jak nasze języki stają się pomarańczowe. Miało to świadczyć o jakości towaru. Teraz kiedy w domu zaparzam przywiezioną z Indii herbatę, dodając do niej imbiru, miodu, cytryny i na końcu wrzucając do filiżanek kilka ususzonych pręcików z szafranu wiem, że piję prawdziwą herbatę. Będzie żal gdy skończą mi się składniki.

Dzień dwunasty

Dzisiaj mamy wybór. Możemy pojechać na rafting rzeką Zanskar lub zwiedzić zespół świątyń i klasztorów w Alci. Mając w pamięci jak bystry był nurt we wspomnianej rzece bez żalu rezygnuję z pływania po niej w pontonie. Wybieram Alci. Jak się

okazało wieczorem zarówno ja jak i pozostali, którzy wybrali świątynię mieli rację. Bo cóż z tego, że chętni popływali sobie pontonem, jeśli cały czas byli ubezpieczani przez pilnujących ich kajakarzy. I faktycznie gdy wpadli do zimnej wody byli szybko wyciągnięci by nurt nie porwał ich dalej. Jak dla mnie było to zbędne ryzyko.

Jedziemy do Alci, do miejsca, w którym znajduje się największy pomnik Buddy. Alci to nie pojedyncza świątynia, to cały kompleks. Niestety nie wolno tutaj robić zdjęć we wnętrzach. A właśnie tam jest najpiękniej. Samochód zostawiamy na parkingu i wąską ścieżką udajemy się za idącymi pielgrzymami. Dzisiaj nie mamy przewodnika, który uznał, że bardziej potrzebny jest przy pontonach. Musimy sobie radzić sami. Na razie nie ma problemu. Do świątyń prowadzi uliczka oblepiona z obu stron straganami. Tak jak wszędzie, tutaj wstęp też jest płatny. Nie są to jednak jakieś duże sumy. W głównej świątyni znajduje się ołtarz, który ponoć ma tysiąc lat. Są tu także pomniki głównych bóstw. Jak doświadczyliśmy tego wcześniej wiele z tych pomników jest tak dużych, że ich głowy znajdują się poza zasięgiem wzroku. Aby spojrzeć im w oczy trzeba wejść na piętro. Jednak nie wszędzie jest taka możliwość. Mnisi pytani jak umieszczają taką figurę w świątyni mówią, że jest to bardzo proste. Najpierw ustawia się posąg, a dopiero później buduje świątynię. W zasadzie to nic nowego nie zobaczyliśmy, jednak widok pozostawionych na podłodze koców czy ciepłych nakryć wyglądających jakby dopiero co ktoś w nich siedział wywarł na nas duże wrażenie. Obejrzeliśmy wielki przepych ale i tandetę. Niestety tutaj jedno idzie w parze z drugim. W sumie jest to jednak ciekawe połączenie.

W Alci najważniejszy jest złoty posąg Buddy o wysokości 23 metrów ufundowany w naszym stuleciu. Spacerując po głównym dziedzińcu możemy dotrzeć do kilku kaplic oraz muzeum. My mieliśmy niebywałe szczęście bo przybyliśmy tu w ostatnim momencie. Za dwadzieścia minut mnisi mieli iść na obiad. Wtedy musielibyśmy czekać aż wrócą. A tak nie dość, że przekroczyliśmy dany nam czas to jeszcze zrobiliśmy sobie z nimi zdjęcia.

Na koniec naszego tu pobytu pokręciliśmy znowu młynkami modlitewnymi i udaliśmy się nad brzeg rzeki Indus. Tutaj jej wody są nieco wolniejsze jednak teraz jest to już olbrzymia rzeka. Jej szerokość budzi wrażenie.

Gdy wracaliśmy z ciekawością oglądaliśmy wyłożone na straganach pamiątki. Prawie każdy z nas coś nabył. Jednak tym razem targi były ostre. Powiem tak, doszło do tego, że jeden ze sprzedawców wyrwał nam z ręki towar i schował go do kieszeni. Widocznie przesadziliśmy z żądaniem upustu. Nie mniej gdy poszliśmy

dalej poszedł za nami i sprzedał towar za zaproponowaną przez nas cenę. Jednak wyraźnie było widać, że nie jest z tego faktu zadowolony.

Wracając do Leh przez Likir ujrzeliśmy jeszcze jedną świątynię położoną wysoko na wzgórzu. Pomalowana na biało tak nas zainteresowała, że postanowiliśmy zajrzeć do niej. Gdy pokonaliśmy strome schody spotkaliśmy tam opiekuna tego miejsca, który właśnie zamknął drzwi na kłódkę i schodził na dół. Zobaczywszy nas, zaprosił na górę i ponownie otworzył drzwi. Pozwolił robić zdjęcia ale bez fleszy. Niestety nie wszędzie było na tyle jasno, żeby zrobić dobre fotki. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, przez chwilę mieliśmy problemy z dostosowaniem wzroku do jasności panującej na dworze. Opiekun zamknął ponownie świątynię i zaprowadził nas do drugiej położonej nieco niżej. Tam zdjął kłódkę i z rozbijającym uśmiechem skasował nas ponownie za wejście do świątyni. Tym razem bilety wstępu nie były żółte a czerwone. Później pokazał nam trzecią świątynię, nie żądając już zapłaty. Cały czas coś nam opowiadał. Jednak gdy dostrzegł idących od parkingu kolejnych turystów bez słowa wytłumaczenia zostawił nas i poleciał w ich kierunku.

Dzień trzynasty

Rano wyruszamy z Leh z zamiarem wjechania na najwyżej położoną na świecie przejezdną przełęcz na wysokości 5600 metrów nad poziomem morza. Ma to być najwyższy punkt w naszej podróży. Robi wrażenie, prawda?

Wyjeżdżamy z miasta, co wcale o tej porze nie jest łatwe. Ruch na drodze jest spory. Wszyscy wyruszają do pracy. Po drodze widzimy mnóstwo pracowników budujących drogę. Robią to ręcznie, chociaż jest tutaj sporo ciężkiego sprzętu. Co jakiś czas muszę wziąć głęboki oddech i popić trochę wody. Jedziemy coraz wyżej. Gdy patrzę przez okno widzę piękną zieloną dolinę. To Leh. Pod nami widać serpentyny drogi pokonanej do tej pory. Mijamy rowerzystów. Ciekawe czy dadzą radę dojechać na górę? Po drugiej stronie doliny widać pokryte śniegiem szczyty. Widoki są niesamowite. Ciekawe co przeważy: zachwyt widokami czy strach przed spadnięciem do przepaści. Przecież tutaj obowiązuje ruch lewostronny i jadąc pod górę jesteśmy właśnie od strony przepaści.

Przez dłuższą chwilę jechaliśmy w miarę płynnie, niestety mamy pierwszy korek. Zarówno przed nami jak i za nami widać sznur samochodów. Ponoć im wyżej tym częściej będziemy mieli takie widoki. Wynika to z kilku powodów. Po pierwsze na drodze stale prowadzone są prace budowlane. Po drugie co chwilę jadą z obu stron kolumny wojskowych ciężarówek. Są one tak duże, że często nie mieszczą się przy

mijaniu i dochodzi do drobnych kolizji. Po trzecie czasami następują osunięcia ziemi, skał i błota na drogę, które trzeba usunąć. Poza tym niejednokrotnie przez drogę przepływają górskie strumienie czy woda z topniejącego śniegu. Nie wszyscy kierowcy przygotowani są na takie wyzwania. Trzeba im wtedy pomagać. Na szczęście tutaj nikt się nie denerwuje. Wszyscy się uśmiechają i pomagają sobie wzajemnie. Do tego są uprzejmi.

Na drodze robi się coraz tłoczniej. Pojawiają się ludzie prowadzący konie. Coraz częściej musimy uważać na budowniczych, czasami trzeba omijać pozostawiony na drodze ciężki sprzęt służący przy budowie drogi. Jednym słowem robi się tłoczno. Do tego zbocza stają się coraz bardziej pionowe a widoczne przepaści coraz głębsze. Nasza pewność siebie powoli maleje. Coraz bardziej obawiamy się czy dotrzemy na górę w jednym kawałku. Na szczęście nasz kierowca jest bardzo opanowany. Widać, że nie jedzie tędy pierwszy raz.



Pojawia się śnieg. Jest go coraz więcej. Powoli zbocza stają się białe. Pijemy coraz więcej wody. Ci, którzy wieczorem balowali czują się coraz gorzej. Wreszcie docieramy do przełęczy. Jesteśmy na Khardongla Pass. Według napisu na tablicy jesteśmy na wysokości 18 tysięcy 380 stóp. Mamy nowy rekord, jeszcze nigdy nie

byliśmy na takiej wysokości. No z jednym wyjątkiem. Jedna z uczestniczek była wcześniej na Kilimanjaro. To trochę wyżej niż tutaj. Zresztą wygląda na to, że tak właściwie to tylko ona nie ma problemów. Pozostali cierpią mniej lub więcej. Wraz z Elą Sznajder, jako mieszkańcy Jeleniej Góry, robimy sobie pamiątkowe zdjęcia, ubrani w koszulki z napisem „Jelenia Góra w Karkonoszach” trzymając także w dłoniach biało-czerwone flagi. Wygląda na to, że przenieśliśmy chociaż na chwilę Jelenią Górę w Himalaje. Cieszymy się z tego faktu niesamowicie. Wkrótce okazuje się, że nasze koszulki zwracają uwagę obecnych na przełęczy ludzi. Co chwilę podchodzą do nas mówiąc po polsku. Okazuje się, że jest tu wielu Polaków przybyłych z różnych stron kraju. Jest nam bardzo przyjemnie. Staramy się przedłużyć chwile szczęścia jak tylko możemy. Niestety pozostali uczestnicy chcą jak najszybciej jechać dalej by zjechać na niższą wysokość. Chcąc zobaczyć co jest tu ciekawego podbiegam sobie tu i tam. I to był mój błąd. Zaraz zaszumiło mi w głowie i zaczęło brakować tchu. Już wiedziałem, że tak nie wolno robić. Trudno trzeba poszukać toalety i wracać do samochodu.

Na przełęczy widać bardzo dużo motocykli. Ludzie przeważnie ubrani są w grube kombinezony. Tylko nieliczni paradują w koszulkach z krótkim rękawem. Na krótką metę jest to możliwe, jednak nie za długo. Zaraz za przełęczą zalegają zwały śniegu. Robi się bardzo zimno. Śnieg zalega częściowo na drodze. Robi się ślisko, trzeba bardzo uważać. Ponieważ pora jest późna przy drodze spotykamy całe grupy pracowników siedzących na ziemi i jedzących przywieziony im posiłek. Obok stoją koparki i spychy. Znowu zaczyna robić się tłoczno.

Gdy zjeżdżamy na w miarę płaski teren wydaje się, że najgorsze już za nami. Przekraczamy kolejną rzekę i ponownie pniemy się krętą drogą biegnącą nad rwącym nurtem. Przed nami coś się dzieje. Po kolei zaczynają zatrzymywać się jadące pojazdy. W pewnej odległości widzimy na zakręcie jakieś zbiegowisko. Zaciekawieni idziemy, tak jak inni, do tego miejsca. Przecież widać, że nikomu przed nami się nie spieszy. Okazuje się, że na zakręcie drogi, w miejscu znacznego jej przewężenia szczepiły się dwie mijające się wojskowe ciężarówki. Jedna wjechała budą w skały, druga w pierwszą. Nie bardzo jest jak się wycofać gdyż koła tej drugiej już wiszą nad skarpą. Jeden nieostrożny ruch i samochody znajdą się w płynącej niżej rzece. Prawie wszyscy, którzy tutaj przyszli nagle okazują się ekspertami. Każdy radzi kierowcom co mają robić by bezpiecznie przejechać. Jak na razie nie bardzo im to wychodzi. Gdy jednak obaj kierowcy wyszli ze swoich aut i obejrzeni je z bliska po chwili spokojnie rozjechali się w przeciwne strony. Już było

po wszystkim. Teraz pozostali ruszyli do swoich samochodów by nie blokować drogi.



Kilka kilometrów dalej widzimy wreszcie kolejny cel jaki mieliśmy zaplanowany w dniu dzisiejszym. Jest to miejscowość o nazwie Diskit. To tutaj aktualnie ma swoją siedzibę Dalajlama. Już z daleka widzimy jak wspaniały jest jego pałac. Położony na wzgórzu po sąsiedzku ze starym klasztorem robi spore wrażenie. Zwłaszcza figura siedzącego Buddy. Najpierw udajemy się do Gompy Diskit, by obejrzyć stary klasztor. Jest on bardzo rozległy. Trzeba sporo czasu by obejść wszystkie zakamarki. Mnich sprzedający bilety jest już tak zmęczony, że położył się na schodkach.

Później przechodzimy pod posąg Buddy siedzącego nad pałacem Dalajlamy. Obok widać lądowisko dla helikoptera. Spędzamy tutaj trochę czasu ciesząc się widokami

a po odpoczynku przejeżdżamy do miejscowości Chnuder gdzie szukamy jakiegoś noclegu. Kluczmy ulicami ogrodzonymi wysokimi murami z kamieni. Gdy widzimy przyzwoicie wyglądający budynek zatrzymujemy się i Jarek idzie zapytać o wolne pokoje. Mieliśmy szczęście, obiekt jest wolny. Zaraz dzielimy pokoje i szykujemy się do kolacji. W tym czasie właściciel szykuje coś smacznego do zjedzenia. Widać jak zrywa warzywa z ogrodu przy domu. Zaraz docierają do nas przyjemne zapachy.

W tzw. międzyczasie kierowca podrzuca nas do namiotu gdzie ma się odbyć występ zespołu folklorystycznego. Bilety nie są tanie ale co tam. Rozsiadamy się wygodnie i czekamy na pokaz. Okazuje się, że zespół składa się z pięciu pań, które ubrane w stroje ludowe tańczą i śpiewają regionalne piosenki. Może nie jest to najwyższa półka ale zawsze coś ciekawego. Do każdej piosenki tancerki zmieniają ubranie. Jednak zawsze mają te same buty. A właśnie ta część ich garderoby najbardziej nas intryguje. Nie wiem buty to czy kapcie - bardzo kolorowe. Są jednak o wiele za duże jak na ich stopy, z tym, że mają bardzo duże podwinięte noski. Wygląda to, nie powiem, ciekawie.

Po takiej dawce kultury postanawiamy na nocleg wrócić pieszo. Nie pomyśleliśmy, że jest to tak daleko. Dotarcie do bazy zajęło nam dobrze ponad godzinę. Po drodze zajrzeliśmy do sklepiku znajdującego się w rozwalającym się garażu. Kupiliśmy najpotrzebniejsze nam artykuły. W domu czekała ciepła strawa. Jak zwykle ryż z różnego rodzaju warzywami i sosami. Wszystko było bardzo smaczne. Najedzeni udaliśmy się na spoczynek. Cisza i spokój panujące w okolicy szybko ulułały nas do snu.

Dzień czternasty

Po dobrze przespanej nocy, wczesnie rano wyszliśmy na spacer. Chcieliśmy dotrzeć do świątyni widocznej na pobliskiej górze. Wydawało nam się, że to niedaleko. Wybieramy ścieżkę wyznaczoną kamieniami i pniemy się zakosami pod górę. W końcu docieramy do najwyższej położonej kaplicy, bo gdy podeszliśmy bliżej okazało się, że jest ich tutaj kilka. Widoki z góry były niesamowite. Dolina rozlanej po horyzont rzeki otoczona była szczytami sięgającymi nieba. Robimy sesję zdjęciową i schodzimy do niżej położonego obiektu. Nie możemy zbyt długo tutaj być gdyż okazało się, że podejście zajęło nam sporo czasu. Nasza ocena odległości niestety zawiodła. Tam i powrotem wyszło z dziesięć kilometrów.

Mieliśmy szczęście gdyż świątynia o czerwonych ścianach, do której zeszliśmy, w przeciwieństwie do tej położonej u góry, była otwarta. Mogliśmy zajrzeć do środka.



Gdy w końcu wróciliśmy do naszego domku byliśmy zmęczeni jak po całym dniu podróży. A przecież dopiero zjemy śniadanie.

Zaciekawieni wczorajszym widokiem kiedy to dostrzeżliśmy karawanę wielbłądów postanowiliśmy odszukać to miejsce. Okazuje się, że nad rzeką są prawdziwe wydmy. To właśnie tam leży sobie kilkadziesiąt wielbłądów gotowych do pracy. Szukamy chętnych do przejażdżki. Niestety większość z nas nie jest zainteresowana. Zgłosiło się tylko pięć osób. Trudno, my pojedziemy na wielbłądach, pozostali zostaną na miejscu by popijać herbatę. Ja co prawda także miałem wątpliwości ale zostałem przekonany, że taka okazja może się nie powtórzyć. Gdy załatwiliśmy formalności, tzn. targowaliśmy odpowiednią cenę, opiekun wielbłądów wybierał dla każdego z nas odpowiednie rumaka. Początkowo omal nie spadłem gdy mój wielbłąd wstawał z kolan. Udało mi się jakoś utrzymać na nim. Zostaliśmy poinstruowani jak się obchodzić ze zwierzakami. Chodziło o to byśmy wiedzieli za co się trzymać by nie spaść z wysokości ponad dwóch metrów. Piasek piaskiem ale upadek z takiej wysokości na pewno byśmy odczuli. Wszystkie wielbłądy zostały powiązane linami tak by tworzyły karawanę. Oczywiście na spacer udał się z nami gościu potrafiący okiełzać je gdyby zaszła taka potrzeba. Jak to w życiu bywa szybko okazało się, że była taka potrzeba. Wielbłądy początkowo idące spokojnie zaczęły

się podgryzać co wywoływało złość tych gryzionych i naprawdę trzeba było wielkiego wysiłku by nie spaść z podskakujących zwierząt. Trasa mimo, iż wydawała nam się krótka okazała się bardzo długa. Dobrze, że w połowie dystansu wielbłądy zostały zatrzymane i pan brał od każdego z nas aparaty i telefony by zrobić nam wspaniałe zdjęcia. Byliśmy mu za to bardzo wdzięczni. Zdjęcie na wielbłądzie idącym po wydmach znajdujących się na wysokości ponad 3 tysięcy metrów nad morzem to prawdziwa gratka.

Gdy wróciliśmy do miejsca, z którego ruszyliśmy musieliśmy zejść z wielbłądów. Jednak nikt z nas nie wiedział jak tego dokonać. Przecież nie zeskoczymy, jest za wysoko. Opiekun widząc nasze obawy kazał spokojnie czekać i po kolei nakazywał wielbłądom by te się położyły. To jednak wcale nie było dla nas takie wesołe. Gdy wielbłąd się kładzie najpierw klęka na przednich nogach. My w takiej chwili omal nie zjeżdżamy z niego. Dobrze, że nie byłem pierwszy, mogłem się lepiej przygotować. Wiedziałem już na co mam zwrócić uwagę. Gdy wreszcie zsiadłem ze swojego wielbłąda ten przewrócił się i leżał jak nieżywy. Początkowo przestraszyłem się, że go zajechałem ale po chwili zobaczyłem jak w kolejnej grupie jedzie ktoś znacznie cięższy ode mnie. Odetchnąłem z ulgą. Wiedziałem już, że mój zwierzak po prostu odpoczywa. I faktycznie po kilku minutach podniósł łeb i rozglądał się dookoła.

W międzyczasie nasz lider dowiedział się, że w pobliżu jest jeszcze jedno miejsce z wydmami. Postanowiliśmy je odwiedzić. Gdy tam dotarliśmy okazało się, że jest to miejsce jeszcze nieznanne, w którym można poczuć dziką przyrodę. Fajnie, zostawiliśmy auto i ruszyliśmy przed siebie. Wędrując przez wydmy dotarliśmy do zakola rzeki. Tam ujrawszy wielkie połacie mułu postanowiliśmy pobrodzić w nim. I w ten sposób ciekawość zamieniła się w świetną zabawę. Było trochę śmiechu gdy wyciągając z błota nogi zostawialiśmy w nim nasze obuwie. Oj ciężko było je wydostać. W końcu udało nam się i zadowoleni wróciliśmy do restauracji na ciepłą herbatę.

Kolejnym odwiedzionym przez nas miejscem było jezioro Buddy. To niewielki zbiornik wodny wokół którego prowadzi ścieżka. W sumie nic co mogłoby nas podniecić. Jednak ze względu na rozgłos jaki panuje wokół tego miejsca postanowiliśmy dotrzeć do niego.

Wieczorem dotarliśmy do miejscowości Pananrik gdzie stanęliśmy na noc w Gost Hausie. Niestety nie było wystarczającej liczby pokoi gdyż byli tu już turyści z Izraela. Daliśmy jednak sobie radę chociaż część osób spało na materacach w

jadalni. Pocieszeniem dla nas miał być fakt, że w tej miejscowości znajdują się ciepłe źródła, zatem będziemy mogli skorzystać i pogrzać się nieco.

Po ogarnięciu się idziemy coś przekąsić w przydrożnej restauracji. Dziwny to był lokal. Nie dość, że jedzenia nie wystarczyło dla wszystkich to jeszcze było tam kilka psiaków chodzących między naszymi stolikami. Po posiłku idziemy do budynku usytuowanego nieco z tyłu. To właśnie w nim znajdują się baseny z ciepłą wodą. Część z nas zostaje tam, część udaje się nieco wyżej do starych basenów dzisiaj już nieużywanych. Nie jest źle, są tam małe baseniki. Wchodzimy, rozbieramy się, namydlamy i wtedy okazuje się, że z rury płynie prawie wrzątek. Niestety nie ma drugiej rury z zimną wodą. Musimy zrezygnować z dalszej kąpieli. Czasami tak bywa.



Może dlatego wieczorem dzielimy się na mniejsze grupki i wychodzimy na spacer. Każda grupka rusza w inną stronę. Początkowo staramy się dotrzeć do płynącej nieopodal rzeki. Szybko zarzucamy ten pomysł bo teren jest tak podmokły, że możemy ugrząźć. Idziemy ulicami wyznaczonymi wysokimi kamiennymi murkami. Wreszcie wychodzimy na otwarty teren gdzie widzimy rzekę. Pasą się tu konie, krowy i kozy. Nikt ich nie pilnuje. Gdy zaczyna zachodzić słońce widzimy jak pięknie

oświetla pobliskie szczyty. Coś wspaniałego. Stoimy tak i wpatrujemy się nie mogąc oderwać oczu od tego widoku. W końcu jednak zawracamy. Odeszliśmy z 5 kilometrów, a za chwilę może zrobić się ciemno. Gdy idziemy w stronę naszego hoteliku co chwilę mijają nas krowy. One także wracają do domów. Poszczególne sztuki wchodzi na różne posesje. Wygląda to tak jakby doskonale wiedziały gdzie jest ich zagroda. My, mimo iż jesteśmy tutaj pierwszy raz także trafiamy do siebie. Teraz czekają nas kolejne niespodzianki. Okazuje się, że ciepła woda jest donoszona w baniakach i to w ograniczonej ilości. Rano była już tylko zimna woda i to w wiaderku. Ponieważ w budynku była jedna toaleta utworzyła się mała kolejka. Prąd był włączony tylko na dwie godziny na czas kolacji. Później do dyspozycji mieliśmy świeczki i latarki. Na szczęście noce o tej porze roku są tutaj jeszcze w miarę ciepłe więc zabrany z sobą śpiwór w zupełności wystarczy.

Wieczór był bardzo ładny. Najpierw gra słońca zachodzącego słońca, później piękne rozgwieżdżone niebo. Cisza i spokój. Nawet psy specjalnie nie szczekały. No to akurat może dlatego, że w obejściu jest tylko jeden pies. Siedzimy sobie na dworze z drinkami albo piwem w puszkach, kupionym u przewidującego gospodarza, i dyskutujemy o tym co dzisiaj widzieliśmy. W końcu idziemy do pokoi. W niektórych zamiast kluczy w zamkach drzwiowych są zasuwki zamykane na kłódki. Fajnym ułatwieniem we wszystkich drzwiach są metalowe rączki montowane z obu stron. Bardzo pomaga to w otwieraniu i zamykaniu drzwi, zwłaszcza że prawie wszystkie są opuszczone i nie dochodzą do końca. Zamknięcia wewnętrzne, zarówno w pokojach jak i w łazienkach, to zwykłe zasuwki u góry lub u dołu drzwi.

Wreszcie kładziemy się i zasypiamy.

Dzień piętnasty

Dzisiaj zawracamy i jedziemy z powrotem w stronę Leh. Ponownie musimy wjechać na wysokość 5600 metrów, nie ma bowiem innej możliwości. Jest to jedyne połączenie drogowe. Do pokonania mamy 170 km. Zajmie nam to cały dzień. W Leh zostawiliśmy główne plecaki, więc gdy tam dotrzemy będziemy mogli uporządkować swoje wyposażenie oraz zrobić małą przepierkę. Pogoda zapowiada się ładnie. Po drodze obserwujemy jak pracują ludzie budujący drogę. Akurat przywożą im ciepły posiłek. Gromadzą się więc w grupki i spokojnie spożywają swój obiad. Później znowu przystępują do pracy. Rozbijają młotkami skały na drobne kawałki i układają je w wysokie pryzmy. To jest podkład pod nawierzchnię, która

będzie ułożona na nim. Najważniejszym jest to, że nie muszą przywozić materiału, gdyż ten znajduje się na miejscu, na wyciągnięcie ręki.



Po kilku godzinach jazdy docieramy na przełęcz Khardongla. Ponownie jesteśmy na wysokości 5600 metrów n. p. m. I znowu mamy na sobie koszulki jeleniogórskie. Tym jednak razem widokiem i pobytem na tej przełęczy cieszy się tylko kilka osób. Reszta jest niedysponowana. Nie wysiadają z samochodu. Ba, nawet nie chcieli się tu zatrzymać. Użyłem fortelu by zrobić sobie kilka fotek. Powiedziałem, że muszę skorzystać z toalety. Może to nieładnie ale w końcu przyjechałem tutaj po to by przeżyć radosne chwile ciesząc się z osiągnięcia tak dużej wysokości. Przecież widoki z tej przełęczy są niepowtarzalne. A tak na marginesie to mimo, iż toalet jest tutaj sporo wcale nie tak łatwo się do nich dostać. Przeważnie stoi się tam w długich kolejkach. Niektórzy nie mogąc wytrzymać schodzą w dół za budynek i załatwiają się tam. Czasami jednak nie wiedząc o tym za bardzo podchodzą pod znajdujące się na górze toalety i są przykro rozczarowani. Toalety u góry to pomieszczenia z otworem w podłodze. I gdy ktoś z nich korzysta siłą rzeczy wszystko leci na dół. Nie wiem czy jest to zabawne ale na pewno nieprzyjemne. Widziałem jak ktoś uciekał w ostatniej chwili.

Teraz pozostało nam tylko zjechać na dół do Leh. Czujemy jak z każdym kilometrem robi się nam lżej, jak nasz oddech staje się swobodniejszy. Do tego te wspaniałe widoki. Warto było tutaj przybyć.

Ponieważ w naszym hotelu przyjęto dużą grupę gości poproszono nas byśmy jedną noc spędzili obok w zaprzyjaźnionym z nimi obiekcie. Wcale nie było gorzej. Wygodne łóżka, ciepła woda. Całkiem fajnie w porównaniu do warunków podczas kilku ostatnich noclegów.

Dzień szesnasty

Idziemy do restauracji na śniadanie by skosztować czegoś nowego. Wybór jest tak duży, że nie mamy z tym problemu. Chociaż niektórzy już mają swoje ulubione dania i tego się trzymają.

Wyruszamy w drogę, najpierw jednak odwiedzamy duży klasztor z biblioteką i wielkim pomnikiem Buddy. Tym razem widzimy tylko jego głowę. Ale to dlatego, że do świątyni wchodziło się na piętrze. Ruszyliśmy wcześniej rano gdyż umożliwiono nam wzięcie udziału w porannych modłach mnichów. Taka okazja nie trafia się codziennie. Grzechem byłoby nie skorzystać.

Siadamy na wyznaczonych miejscach pod ścianami świątyni. Miejsca w środku zajmują mnisi i ich uczniowie. Jest tu wiele dzieci chcących zostać mnichami. Gdy przychodzi mnich, który będzie celebrował modły uczniowie roznoszą posiłek. Każdy z mnichów wyciąga spod ławeczki miskę i podsuwa by nalano do niej herbatę z masłem oraz dołożono gotowanego ryżu. Wyglądało, że taki posiłek im smakował. Niektórzy brali dodatkę. Nasze nieszczęście polegało na tym, że herbatą z masłem mnisi częstowali także turystów. Podali nam papierowe kubki i nalali do nich herbatę. Nie wiedząc jak ona smakuje wyciągaliśmy ręce z kubkiem pod dzbany, z których ja nalewano. Dopiero gdy spróbowaliśmy owego napoju wiedzieliśmy jaki zrobiliśmy błąd. Mało kto był w stanie wypić to coś do końca. A tu mnisi podchodzili i jak widzieli pusty kubek dolewali do pełna. Trzeba było pilnować swojego naczynka i gdy zbliżał się mnich z dzbanem chować je. Kolejnym nieszczęściem, tym razem dla mnie, było to, że usiadłem blisko rogu, tuż przy dwóch mnichach, przed którymi leżały jakieś walizki. Nie zwracałem uwagi na to co oni robią i w pewnym momencie omal nie wyzionąłem ducha gdy ci zatrąbili mi prosto do ucha. Okazało się, że w tych walizkach mieli trąby, które po rozłożeniu sięgały aż do mnie. Same modły były trochę dziwne. Mnisi wypowiadali słowa mantry. Jednak nam wydawało się, że oni po prostu mruczają coś pod nosem. Najlepsze było gdy siedzący przede

mną uczniowie przysypiali i ich mistrz nie słyszał wymawianej przez nich modlitwy. W takich momentach brał zamach i otwartą dłoń uderzał w tył głów tych dzieciaków. Oni po takim obudzeniu od razu modlili się tak głośno, że zagłuszali innych. Po drugiej stronie siedzieli nieco starsi uczniowie. Ci z kolei cały czas rozmawiali, dowcipkowali, w ogóle nie uczestniczyli w modlitwie. Gdy w końcu zakończono modły, ci którzy nie dali rady przełknąć herbaty dyskretnie wynosili kubki by wylać ich zawartość gdzieś w kącie. Ja zrobiłem tak samo. Szkoda było wysiłku uczniów, którzy targali bardzo ciężkie dzbany ale wolałem nie ryzykować rozstroju żołądka.



Po obejrzeniu pozostałych pomieszczeń zespołu klasztornego podziwialiśmy panoramę widzianą z tarasów. Korzystamy z usług znajdującej się tu restauracji i jemy późne śniadanie. Obserwujemy jak fruwające ptaki co chwile przysiadają na talerzach i wyjadają pozostawione jedzenie. Niektóre siadają na cukiernicach i dobierają się do cukru. Widać, że im smakuje.

Wkrótce docieramy do kolejnego klasztoru. Po drodze widzimy usypane na wielu kilometrach pryzmy z tłuczonego kamienia. Ich wysokość dochodzi do niemal dwóch metrów. Wygląda, że jest to podkład pod nową drogę. Ale solidny.

Wspomniany klasztor jest tak duży, że mieści się w nim nawet muzeum. Jak by było tego mało mnisi jeszcze go rozbudowują. Możemy zobaczyć jak zręcznie przygotowują drewniane belki konstrukcyjne. Zwiedzając poszczególne piętra docieramy aż na sam dach. Widać stamtąd całą okolicę. Wszędzie rozpościera się teren pustynny pokryty niezliczonymi ilościami kamieni. Ale od czasu do czasu widać zielone tarasy. Dostrzegamy, że są one nawadniane.

Przed nami kolejna wysoka przełęcz (Changla). Ale to nic dziwnego wszak Lada to kraina wysokich przełęczy. Tym razem jesteśmy na wysokości 5400 metrów nad poziomem morza. Zaraz będziemy jeszcze niżej bo na wysokości 5270. Teraz jest już tylko w dół. Musimy dojechać nad piękne jezioro. Po chwili zupełnie przestaje nam się spieszyć. Widzimy na łące przy drodze świstaki. Zatrzymujemy się z nadzieją, że nie uciekną. Niektórzy próbują skusić je ciasteczkami. I o dziwo, one reagują. Podchodzą tak blisko, że swobodnie odbierają podawane słodycze. Teraz wszystko staje się jasne. Turyści jeżdżący tą drogą nauczyli je przychodzenia po smakołyki. Pewnie dlatego są one takie grubiotkie. Gdy przejeżdżający samochód spłoszył je widzimy jak szybko chowają się do swoich norek w ziemi. Niestety ten najodważniejszy, ze względu na swoją tuszę, nie może zmieścić się do norki. Biega od jednej dziury do drugiej. W końcu gdzieś udaje mu się wcisnąć. Łakomstwo nie popłaca.

Przed nami jeszcze kawałek drogi. Jedziemy doliną, dnem której, płynie rwąca rzeka. Musimy dojechać do jakiegoś mostu by przedostać się na drugi brzeg. W końcu udaje nam się to. Jeszcze chwila i docieramy do jeziora Tsomori Ri położonego na wysokości 4200. Ponoć jest ono jednym z najwyższych położony na świecie. Niesamowite. Część jeziora leży w Chinach. Myślę jednak, że nie będziemy próbowali tam płynąć.



Woda w jeziorze ma piękny niebieski kolor co powoduje, że odbijające się w niej białe chmury tworzą niezapomniane widoki. Do tego otaczające jezioro potężne szczyty górskie. Tego nie da się opisać. To trzeba zobaczyć.

Wzdłuż jeziora widać wiele baz namiotowych tworzących małe miasteczka. My szukając noclegu jedziemy kilka kilometrów dalej. W końcu znajdujemy odpowiednie miejsce i zajmujemy wyznaczone nam pokoje. Nie jesteśmy sami. Zatem będzie problem z toaletą gdyż jest tylko jedna. Za to jest tutaj coś w rodzaju kuchni domowej oraz małego sklepiku.

Zanim zamówimy coś na ząb ruszamy na spacer w stronę jeziora. Wszędzie na łąkach widzimy pasące się krowki. Na wodzie pływają kaczki. Czasami widać mewy. Jest bardzo cicho i spokojnie. Woda niestety jest bardzo zimna, raczej nie skusimy się na kąpiel. Zresztą dno jest tutaj usłane kamieniami. Spacer na tej wysokości wywołuje lekkie zmęczenie. Wracamy i zamawiamy ciepłą zupę i herbatę z imbirem. Od razu czujemy się lepiej. Pora jednak iść spać. Gospodarze przestrzegają nas, że w nocy może być bardzo zimno. Niektórzy biorą dodatkowe koce. Jak się jednak okazało wcale nie było tak źle.

Dzień siedemnasty

Dzisiaj wracamy do Leh. Ponownie przejedziemy przez przełęcz Changla (5400). Zanim wyjedziemy udajemy się na poranny spacer nad jezioro. Gdy wracamy czujemy, że śniadanie zjemy obfite. I tak jest. Teraz czeka nas „najprzyjemniejsza” część naszego tu pobytu. Gospodarze podliczą ile przejedliśmy. Każdy rozlicza się i kupuje na drogę wodę, no niektórzy jakieś słodycze.

Gdy tylko jezioro znikło za horyzontem widzimy dwa świstaki. Wyglądały jakby się biły, może to zabawa. Nie jesteśmy pewni. W każdym razie widok był zabawny. Dzisiaj na drodze ruch jest znacznie mniejszy niż wczoraj. Pozwoliło nam to na w miarę szybkie dotarcie do przełęcz. Ciekawe bo mimo wysokości dobrze ponad 5 tysięcy metrów wcale jej nie czujemy. Może już się przyzwyczailiśmy?

Po drodze zatrzymujemy się na jakąś przekąskę w przydrożnym barze, a później dojeżdżamy do miejscowości Tikse. Jest tu najstarszy klasztor Tybetu. Od początku towarzyszy nam lekka obawa czy damy radę. Już od parkingu zaczynają się schody. Takie prawdziwe. Okazuje się, że dalej będzie ich jeszcze więcej. W kaplicy widzimy głowę Buddy. Reszty figury nie widać gdyż znajduje się piętro niżej. Jest tak duża, że nie da się jej zobaczyć w całości.

Ponieważ miejsce to pełniło dawniej funkcję stolicy znajduje się tu zamek. Właściwie to jego ruiny. 400 lat temu władcy Tybetu (były wtedy dwie linie władające wspólnie Tybetem) uznali, że od tej pory będzie tylko jedna osoba decyzyjna i przeniosły stolicę do innego miasta opuszczając tę siedzibę.



Doprowadziło to do szybkiego upadku tego miejsca i dzisiaj mamy to co mamy. Aby sprawdzić co pozostało z zamku weszliśmy na te ruiny. Faktycznie wielka kupa gruzu. Za to widoki przednie. Najlepsze w tym miejscu to ilość młynków

ustawionych przy drodze prowadzącej do klasztoru. Są ich tu setki. Jak ktoś chce je wszystkie wprowadzić w ruch to idąc pod górę na pewno dostanie zadyszki.

Kolejnym ważnym miejscem na naszej drodze jest klasztor w Hemis. To jeden z największych oraz najważniejszych tego typu obiektów w Indiach. Zwiedzanie jego zajmuje nam dobrze ponad godzinę. Nie dość, że jest tu co oglądać to jeszcze można nabyć wiele ciekawych rzeczy.

Dzień osiemnasty

Dzisiaj sobota, ponoć. Ruszamy do Manali. Przed nami trzy dni drogi. Na tyle opuszczamy Leh. Znowu będziemy nocowali nad jeziorem położonym na wysokości ponad 4 tysiące metrów nad poziomem morza.

Najpierw jednak stajemy przy ciepłych źródłach gdzie spożywamy posiłek. Jesteśmy mile zaskoczeni. Ceny tutaj są nieporównywalnie niskie w stosunku do tych do jakich się przyzwyczailiśmy. Jedynym problemem był brak toalet. Po raz pierwszy zdarzyło się, że nasz kierowca zapłacił mandat. Całe 200 rupii.

Jedziemy doliną Indusu ale pod prąd. Widoki wspaniałe. Nurt w rzece rwący to za słabo powiedziane. Nie chciałbym wpaść do tej wody. Niemal cały czas na drodze pracują grupy ludzi poszerzających jezdnię. Usuwają zwisające nad samochodami skały. Te luźne po prostu strącają, te trzymające się porządnie nawiercają specjalnymi świdrami a później zakładają ładunki wybuchowe i wysadzają. Wszystkie prace wykonywane są praktycznie bez przerywania ruchu drogowego. U nas nie do pomyslenia.

W końcu przejeżdżamy przez porządny most i opuszczamy dolinę Indusu. Teraz pniemy się pod górę bardzo wąską drogą na kolejną przełęcz. Raz jest asfalt, raz goły grunt. Wreszcie udaje nam się dobrnąć na przełęczę Polo Kongka 4970, La Czulungla 5100 i Nam Szangla 4960 chorągiewki.



Teraz zjeżdżamy na dół i docieramy do niewielkiego jeziorka. Nie jest to jednak cel naszej podróży. Dopiero po przejechaniu sporego odcinka docieramy do jeziora

Pangong, położonego ponad 4 tysiące metrów n. p. m. Nie jest ono takie ładne jak poprzednie ale warto spaceru. Niestety dojście do wody nie należy do przyjemnych. W trawach żyją tysiące małych muszek, które przy każdym kroku wzbijają się w powietrze i całymi chmurami obsiadają nasze ciała. W górze widzimy latające orły. Trudno jednak uchwycić je aparatem.

Zatrzymujemy się tutaj na noc. Warunki nie są wcale takie złe. Mieszkamy w jednym budynku. Kucharz stara się nam dogodzić. Chodzimy na spaceru po okolicy. Co prawda ze względu na wysokość szybko się męczymy więc większość z nas raczej odpoczywa. Wieczorem przychodzi do nas właścicielka innego biura podróży gdyż okazuje się, że nasze drogi się skrzyżowały. Prowadzimy miłą rozmowę, a nazajutrz ponownie każda grupa rusza w swoją stronę.

Dzień dziewiętnasty

Objężdżając jezioro ponownie wjeżdżamy na przełęcz Nam Szangla 4960. Za to dalej trafiamy do doliny, w której na łące dostrzegamy co jakiś czas tryskające fontanny. To gejzery. Zatrzymujemy się by podejść bliżej. Faktycznie woda jest gorąca. Nie są one jednak zbyt wysokie. W kolejnej dolinie kierowca pokazuje nam miejsce wydobywania siarki. Teraz opuszczone. Można tutaj bez problemu znaleźć siarkę. Aby sprawdzić czy aby na pewno to ona podpalamy zapałkę. I co? I pali się! Tak to siarka.

Wjeżdżamy na przełęcz Polo Kongka (4970) gdzie widzimy rozstawione przy namiotach anteny satelitarne. Zaskakujący to widok. Przed nami jeszcze jedna przełęcz La Czulungla (5100).

Przejazd przez fantastyczne wąwozy był niesamowite. Te formy skalne wyrzeźbione przez wodę. Te kręte drogi. Widać, że cały czas trwa na nich praca. Ludzie kopią rowy i kładą kable. Jakbyśmy mieli mało przeżyć kierowca kilkakrotnie wykorzystywał znane sobie skróty a nam za każdym razem żołądek wędrował do gardła. Zresztą sam zjazd właściwą drogą był niezapomniany. Dziesiątki serpentyn. Dosłownie.

Próbujemy znaleźć miejsce, w którym moglibyśmy coś zjeść. Niestety po drodze oferują tylko same zupki z proszku. Na dodatkę na jakiejś dziurze samochód tak podskoczył, że zerwało się zamknięcie tylnych drzwi. Trzeba to było jakoś naprawić bo inaczej mogliśmy pogubić plecaki. Nasz kierowca rozwiązał sprawę kawałkiem zwykłej linki wspinaczkowej.

W końcu widzimy dosyć duży namiot. Zatrzymujemy się przy nim i wchodzimy do środka. Pełne zaskoczenie. Nie ma tu żadnych krzeseł ani stołów. Za to po obu stronach na kamieniach ułożono po kilkanaście materacy tworząc w ten sposób wygodne miejsca do leżenia. Nie trzeba nas namawiać. Zaraz się rozkładamy a obsługa podaje nam herbatę lub kawę, w zależności od zamówienia.



Jedziemy dalej. Pod nami niesamowita dolina. Przepaści po kilkaset metrów. W dole rzeka. Na zboczach namioty i pola uprawne założone tarasowo. Do niektórych domostw aby się dostać spuszcza się liny. Co chwilę spływające strumienie górskie przepływają przez drogę i trzeba bardzo uważać by ich nurt nie porwał samochodu. Czasami droga tak się zwęża, że przejechanie staje się prawie niemożliwe. Czasami ze zbocza osuwają się skały. Te mniejsze można zepchnąć niżej ale większych nikt nie da rady przesunąć. Trzeba wtedy czekać na ciężki sprzęt. A to może trochę potrwać. Na szczęście mamy bardzo dobrego kierowcę, który nie tylko wie jak poprowadzić samochód ale często korzysta z jemu znanych skrótów. Dla niego to norma, nam się wydaje, że zaraz gdzieś się stoczmy.

Ponieważ w miejscowości Sumalli, w której planowaliśmy nocleg warunki sanitarne są gorsze od najgorszych jakie do tej pory napotkaliśmy postanawiamy jechać dalej. Do następnego miasta jest 88 kilometrów. Cóż najwyżej zajedziemy tam po nocy.

Na szczęście po jakimś czasie widzimy przy drodze małe miasteczko namiotowe (miejscowość Sarchu). Wygląda ono całkiem przyzwoicie. Duże namioty typu wojskowego ustawione w szeregu, ogrodzony teren. Decydujemy się. Co prawda cena jest porównywalna z hotelem ale jakość o wiele wyższa. Zjeżdżamy na parking. Namioty mają po trzy łóżka ale są bardzo przestronne. Okazuje się, że każdy jest wyposażony w oddzielną łazienkę, do której prowadzą rozsuwane drzwi. Łazienka jest bardzo duża. Znajduje się tam muszla, prysznic i umywalka. Fajnie.

Myjemy ręce i idziemy do stołówki by zjeść kolację. Zanim nam ją podano pilnie rozglądamy się dookoła. I co widzimy? Pośrodku stoi w donicy choinka przyozdobiona kolorowymi światełkami. Nie to nas jednak dziwi. Przyglądamy się ciekawym roślinkom rosnących pod nią. Przecież to prawdziwe konopie. Bardzo dorodne krzaczkę. Rosną sobie tutaj jako ozdoba. Nikomu to nie przeszkadza.

Po kolacji i skosztowaniu miejscowych trunków idziemy spać. Najpierw jednak szybka toaleta. Tak myśleliśmy. Nagle z łazienki dobiega straszny krzyk. Nie wiemy co się dzieje. Pytamy kolegi czy potrzebuje pomocy ale ten stanowczo dziękuje. Dobra, nie to nie. Po kilku minutach wchodzi do namiotu, cały mokry. Okazało się, że gdy skorzystał z wc i pociągnął za spłuczkę woda poszła jak z wodospadu, tyle że nie tam gdzie miała pójść. Ktoś źle założył wężyki i cała woda dosłownie skąpała naszego współlokatora. Śmialiśmy się wszyscy, on także. My oczywiście nie popełniliśmy już tego błędu.

Dzień dwudziesty

Rano zjedliśmy spokojnie śniadanie i ruszyliśmy w dalszą drogę. Czekał nas podjazd na wysokość 4300 metrów. Na drodze znowu pełno robotników. Tym razem widzimy dużo kobiet, do tej pory nie było ich tak wiele. Wszyscy pracują bez rękawiczek. Spora ilość kobiet ma zawinięte w chusty małe dzieci, które są przytroczone na ich plecach. Ale nie tylko, czasami widać, że mężczyźni także opiekują się dziećmi.

Nieco wyżej trafiliśmy na olbrzymie płaty śniegu, po których chodzi ze sto osób. Są to Hindusi, którzy nigdy wcześniej nie widzieli śniegu. Chcą zatem zobaczyć co to takiego i nacieszyć się nim. Dotykają go, próbują, w końcu wykonują w nim jakieś napisy i robią sobie pamiątkowe zdjęcia.

Dojeżdżamy do przełęczy Rohtang Pass. Panuje tu niesamowity tłok, co drugie auto ma włączone światła awaryjne. Spowodowane jest to gęstą mgłą. Wielu kierowców po prostu boi się jechać dalej. Nasz, mimo wszystko, decyduje się zaryzykować. W sumie to nie widać początku samochodu. Jakoś powolutku posuwamy się do przodu. Po chwili omal nie wpadamy na auto jadące przed nami. Stajemy. Tworzy się korek. Na szczęście mgła jakby słabła. Widzimy, że przed nami stoi więcej samochodów. Gdy mgła rozwiła się trochę widzimy, że to auta jadące pod górę zablokowały drogę. A my jadąc na dół stoimy od strony przepaści. Aż nam zrobiło się ciepło. Przecież widzieliśmy już wraki aut które spadły w przepaść. Nikt ich stamtąd nie wyciąga.

Przed nami korek, za nami korek, a z boku przepaść. Wygląda to nieciekawie. Nawet nie można wysiąść bo drzwi są właśnie od tej strony. I coś z tego, że pod nami widać śnieg. Raczej nie zamortyzuje on upadku z kilkuset metrów.

Na szczęście auto blokujące ruch zdołało ruszyć z miejsca i wszystko wróciło do normy. Mijamy jadące pod górę samochody. Niestety korki powtarzają się co kilkadziesiąt metrów. Staramy się wówczas, a właściwie stara się nasz kierowca, zjechać jak najbardziej na pobocze by zrobić więcej miejsca jadącym z dołu. Wszystko fajnie tylko my już nie możemy patrzeć na te przepaści. Dopiero teraz, kiedy mgła pozostała nieco wyżej widzimy jak wiele jest miejsc na drodze gdzie leżą wielkie głazy, które zsunęły się ze zbocza. To właśnie w takich miejscach powstają korki. Najgorzej jest na zakrętach gdzie zupełnie nie widać czy ktoś nie nadjeżdża z dołu. Wyłania się on przeważnie z nienacka. Teraz dopiero wiemy, że wszystko zależy od dobrego klaksonu. Jego dźwięk to najlepsze ostrzeżenie. W każdym razie wjeżdżanie w zakręt to prawdziwa loteria. Wyjedzie coś czy nie. Najgorsze, że ciągle jedziemy od strony przepaści.

Nagle we mgle, która zeszła niżej, pojawiły się korony drzew. Po chwili widać już było ich grube pnie. Od razu zrobiło nam się lżej. Teraz w razie gdybyśmy spadali zatrzymamy się na jakimś drzewie. Jest dobrze. Pojawia się coraz więcej roślin, jest coraz bardziej zielono. W końcu skończyła się pustynia. W górach prawie nic nie rośnie. To znak, że zjechaliśmy na wysokość, na której zaczynają się lasy. Kolejne setki zakrętów na drodze nie są nam już straszne.

Jak na złość zaczyna padać deszcz. Szybko okazuje się, że to deszcz monsunowy. Rozpoczyna się prawdziwa ulewa. Woda dosłownie leci strumieniami. Zamykamy okna w samochodzie, nie na wiele się to zdaje. Samochody przed nami zaczynają stawać. Nikt nie chce jechać w takich warunkach. My też się zatrzymujemy. Po

chwili czujemy jak nasz samochód sływa w stronę przepaści. To woda razem ze szlamem zabiera nasze auto. Naprawdę robi się niebezpiecznie. Nie ma gdzie uciekać. Wszystko teraz zależy od naszego kierowcy. Ten, pewnie wiedząc o co chodzi, włącza silnik i z impetem wjeżdża pomiędzy samochody stojące pod skarpą. Wbija się w skarpę nie bacząc, że uszkodzi samochód. Auto zaczepia się o rośliny zwisające na zboczu i staje nieruchomo. Teraz jedynym naszym zmartwieniem jest woda wlewająca się do środka. Ale to w tym momencie nie jest ważne. Najważniejsze, że kierowca uratował nam życie. Po czterdziestu minutach deszcz ustaje i możemy ruszać dalej. Trzeba tylko zachować ostrożność bo wszędzie jest pełno mułu i połamanych gałęzi.



Teraz gdy już nie drżymy o nasze życie możemy spokojnie rozejrzeć się dookoła. Zaciekało nas to, że mimo takiej ciasnoty na drodze i mijania się dosłownie o milimetry, rzadko który samochód ma uszkodzone boki karoserii.

Gdy dotarliśmy do hotelu dowiedzieliśmy się, że jutro w dalszą drogę pojedziemy kursowym autobusem. Dotarło do nas, że oto musimy rozstać się z naszym kierowcą. Wszyscy mu dziękowaliśmy za wspaniałą jazdę. Myślę, że nasza

wdzięczność za wszystko co dla nas zrobił najlepiej została wyrażona przez wręczenie mu sowitego napiwku.

Dzień dwudziesty pierwszy

W końcu jesteśmy w Manali. Ruszamy na spacer po mieście. Najpierw w górę ulicy do świątyni hinduistycznej. Tam Jarek opowiedział nam o tej religii i o jej bogach. Oglądamy zgromadzone tu przedstawienia bogów i widzimy jak opiekun tego miejsca maluje czerwone kropki na czołach osób, które przy nim stoją. Szybko okazuje się, że aby dostać taką kropkę trzeba dać stosowny datek. Jarek płaci „hurtem” ale niewielu z nas się na to decyduje.

Teraz musimy zejść z powrotem stromą i wąską ulicą na dół. Wszędzie widzimy, że rowy i zbocza przy drodze porośnięte są krzakami konopi. Nikt nie zwraca na to uwagi. Wszak to tutaj chwast. Mijamy sklepy i restauracje, wszędzie nas zapraszają. Nie dajemy się - z jednym wyjątkiem. Przecież jeszcze dzisiaj nie jedliśmy śniadania. Wchodzimy do sporego lokalu i zamawiamy coś czego do tej pory jeszcze nie jedliśmy. Jak zwykle wszystko było smaczne.

Najedzeni możemy iść dalej. Skręcamy w boczną ulicę i docieramy do płotu chroniącego jedyny obszar zielony. Jest to prawdziwy park, w którym rosną kilkusetletnie cyprysy. Kupujemy bilety i idziemy zwiedzać. Właściwie to chcemy przejść na drugą stronę, gdyż tędy jest znacznie bliżej. Podziwianie przyrody jest niejako bonusem do spaceru. Oprócz cyprysów rosną tutaj sosny. Dzięki temu powietrze jest zupełnie inne, takie świeże. Na końcu możemy obejrzeć trzymane w wolierach ptaki. W końcu docieramy do przeciwległej bramy parku i już jesteśmy na placu, na którym znajduje się pomnik Neru. Ciekawie prezentuje się drewniany budynek wielkości garażu, przed którym stoi uzbrojony wartownik. To bank! Szukamy jakiegoś miejsca by usiąść i odpocząć. W końcu widzimy placyk, na którym ustawiono kilkanaście stolików. Zamawiamy kawę, herbatę, niektórzy skuszeni widokiem pięknie poukładanych owoców decydują się na świeżo wyciskany sok. I jednych i drugich czeka niespodzianka. Gorące napoje podano nam w papierowych kubkach wielkości naparstka. Natomiast dowcipny pan od soków wyjął ładny owoc ze spodu i cała misternie ułożona dekoracja poturlała się po placu. Początkowo zaczął zbierać owoce i układać tak jak wcześniej. Oczywiście co ułożył kawałek to zaraz wszystko spadało. Przy którymś razie nie wytrzymał i rzucając ze złością trzymane w rękę jabłko po prostu sobie gdzieś poszedł. Po dłuższym czasie wrócił i zaczął zbierać owoce do kartonu. Nie ryzykował, że znowu się posypią.

Naszym kolejnym celem jest drewniana świątynia obudowana wokół grotty. Tłumy ludzi chcących tam zajrzeć tworzą długą kolejkę. Trochę nas to odstrasza ale jak już tu jesteśmy spokojnie czekamy. Dla odmiany idziemy do miejsca w którym utworzono coś w rodzaju kapliczki. Wielu ludzi przychodzi tam by zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Zresztą takich zdjęć można tutaj zrobić wiele. Można przebrać się w jakiś strój ludowy, można usiąść na jaku, można cyknąć sobie fotkę z pięknymi białymi królikami czy wreszcie z zespołem ludowym. Wszystko oczywiście za niewielką opłatą. Ba, nawet można się zważyć.



My wypatrzyliśmy koło karuzeli. Takie wielkie, że widać je było ponad domami. Poszliśmy w tamtą stronę i okazało się, że nikt nie korzysta z tej atrakcji. Zaraz zdecydowaliśmy się i wsiadamy do koszy. Ale nie tak jak chcieliśmy. Obsługujący karuzele rozsadał nas po różnych koszach tak by odpowiednio rozłożyć ciężar. I miał racje. Jak tylko maszyna ruszyła poczuliśmy jak cała karuzela zaczyna chodzić. Co wjazd na górę - było naprawdę wysoko - serce wchodziło nam do gardła. Początkowa zabawa szybko zmieniła się w oczekiwanie kiedy wreszcie karuzela się zatrzyma. Zwłaszcza, że zobaczyliśmy iż to wszystko pracuje nie na solidnych stalowych zębatkach a na zwykłych kołach od samochodu. Do tego jeszcze opony były tyse.

Uf, udało się. Jesteśmy żywi. Chwiejnym krokiem idziemy do hotelu. W końcu jesteśmy na miejscu. Teraz obiadek i spać. Ale nie tak od razu. Przecież to moje imieniny. Trzeba zaprosić wszystkich i przygotować jakieś przyjęcie. Do tej pory stroniłem od alkoholu uznając, i słusznie, że w górach, a zwłaszcza wysokich, alkoholu (zwłaszcza mocnego) się nie pije. Teraz gdy już zesliśmy niżej możemy sobie pozwolić na kilka drinków. Szukam odpowiedniego sklepu i kupuję indyjski rum. Ponoć to najlepsze co mają. Resztę poczęstunku kupuję w sklepie obok. Ponieważ robię spore zakupy dostają jakiegoś gratisa. Fajnie. Wracając do hotelu widzę zaklinacza węży. Zachęca on ludzi do przyglądania się jego wyczynom. Gdy jednak ktoś zrobi mu zdjęcie każe sobie płacić. Może to i słuszne?

Wieczór przeciągnął nam się do późnej nocy. Wszak mieliśmy co opowiadać. W końcu jednak trzeba było położyć się spać.

Dzień dwudziesty drugi

Wyjeżdżamy do Szimli – letniej stolicy Indii w okresie panowania Brytyjczyków. Najpierw musimy zjechać rikszami na dworzec gdyż jest on zbyt daleko byśmy zdążyli dotrzeć na kursowy autobus o 7.03. Na dworcu wszystko już działa. Ze względu na wczesną porę nie mieliśmy gdzie zjeść śniadania. Dlatego kupujemy na pierwszym straganie coś ciepłego do picia i jakieś pączki.

Okazuje się, że najpierw odjeżdża zwykły autobus a dopiero po kilku minutach nasz. Różnica polega na tym, że w zwykłym autobusie siedzenia są na dwie i trzy osoby, a w naszym dwa razy po dwie. Daje to większy komfort jazdy. Nasz autobus jest de lux czyli ma zarówno klimatyzację jak i wiatraki. Obsługa pakuje plecaki do bagażnika z tyłu autobusu. Oczywiście dostaje za to tipa czyli napiwek. Cieszymy się, że bagaże wylądowały w luku bagażowym a nie na dachu gdyż zanoszą się na deszcz. Jakże to było złudne okazało się przy wysiadaniu. Przed nami 250 km. Powinniśmy jechać około 7 godzin. Konduktor, tak w tym autobusie oprócz kierowcy jest konduktor, a więc konduktor śmiesznie wygłasza komunikaty. Mówi szybko jak karabin maszynowy. Jednak jego głos jest dobitny i mocny. Po drodze mamy zaplanowane kilka 20-minutowych przerw. Mamy też jedną dłuższą na posiłek w przydrożnym barze. Tym razem zaproponowano nam kuchnię indyjską, a więc bardzo pikantną. To delikatnie powiedziane. Gdy skosztowaliśmy sosów dosłownie szczęki nam opadały.

Po drodze zaczął padać deszcz. Właściwie była to prawdziwa ulewa. Jak to tutaj zazwyczaj bywa lało tak, że po szybach ciekły strumienie wody. Oczywiście zaczęły

się korki. Pojazdy na drodze mijają się na styk, dosłownie. Często kierowcy musieli składać boczne lusterka by się zmieścić.

W końcu dojeżdżamy. Przed nami rozpościera się zupełnie inny widok, niż ten do którego przywykliśmy. To inny świat. Mnóstwo domów, od razu widać, że to prawdziwa metropolia. Przecież kiedyś była to letnia stolica i siedziba wicekrólów angielskich. Całe miasto położone jest na wzgórzach. Pojawiają się fajne małpki. Jest ich coraz więcej. Są wszędzie, na drzewach, na dachach, gdzie tylko się spojrzy. Widzimy całe rodziny. Zaraz ostrzegają nas przed zbytnim spoufalaniem się z tymi ładnymi małpkami. Ponoć tutaj to prawdziwe utrapienie. We wszystkich oknach założone są kraty.

Podjeżdżamy pod dworzec, który okazuje się sporym centrum przesiadkowym dla podróżnych. Jest tu hotel i kilka restauracji. Do tego pełno kiosków. Można spokojnie albo odpocząć albo przesiąść się na inny autobus czy skorzystać z usług taksówkarzy.

Kiedy konduktor otwiera luk bagażowy oczy szeroko się nam otwierają. Nie możemy uwierzyć w to co widzimy. W luku widać jedno wielkie jezioro. Właściwie to nie woda ale jakaś błotnista maź. Wygląda, że bagażnik nie jest za bardzo szczelny i podczas deszczu przedostała się tutaj woda z kałuż. Niektóre plecaki dosłownie pływają w tej brei. Na szczęście mój plecak leżał na gąbkach wypełniających nosidełka i woda nie dostała się do środka. Ale z niektórych plecaków, gdy je zakładano na plecy dosłownie ciekło. Oczywiście wszyscy zaraz mieliśmy mokre plecy i tyłki. Nie muszę chyba wspominać, że w takiej sytuacji nie daliśmy żadnego napiwku.

Gdy nasz przewodnik załatwił noclegi skorzystaliśmy z oferty znajdujących się tu punktów gastronomicznych i coś przekąśliśmy. Później poszliśmy na pobliski przystanek i wsiedliśmy do autobusu miejskiego, którym pojechaliśmy w okolice naszego hotelu. Dalej musimy iść pieszo, bo to dzielnica, w której znajduje się sporo budynków rządowych. Dlatego ulice są wyłączane z ruchu kołowego. Również tutaj widać wielu żołnierzy patrolujących ten obszar. Wszyscy wyposażeni są w karabiny maszynowe.

Już widzimy nasz hotel. Położony, tak jak większość budynków, na stromym zboczu. W sumie może być. Ze względu jednak na to zbocze hotel ma sporo schodów i różnych zakamarków. Gdy docieramy do pokoju próbujemy zapalić światło. Coś nie chciało zrobić się jasno. Gdy zastanawiamy się co się dzieje ktoś dzwoni do drzwi.

To gość z portierni. Mówi, że jest boj-serwisem. W sumie nie wiemy dlaczego się zjawiał, przecież wcale go nie wzywaliśmy. Okazało się, że obok włącznika światła był przycisk dzwonka na boja. Było trochę śmiechu ale pan się nie obraził. Tyle, że musiał znowu dreptać po schodach na górę.

Wieczorem ruszamy na mały spacer. Jakież zaskoczenie. Ani ulica, ani jej zabudowa czy sklepy i restauracje nie pasują do Indii. Wygląda to tak jakbyśmy byli w jakimś mieście w Europie. Nic dziwnego, wszak to wszystko zbudowali Anglicy i pozostawili po nadaniu Indii niepodległości. A ponieważ dobrych rzeczy się nie wyrzuca, do dnia dzisiejszego zachowały się nawet meble, na których siedzieliśmy jedząc kolację. To tzw. styl kolonialny.

Na najwyższym wzniesieniu widzimy ogromny czerwony pomnik. To wielka mała ubrana w mundur. Jutro tam pójdziemy to dowiemy się czegoś o tym ciekawym miejscu. Góry parują, zapalają się światełka w domach. Zaczyna się nocne życie miasta. Widok jest wspaniały. Same otoczenie jest tutaj zupełnie inne niż to, do którego przyzwyczailiśmy się w Tybecie. Wszędzie widać zieleni, wszystkie zbocza i góry gęsto porasta roślinność. Właściwie taki widok towarzyszy nam już od wczoraj.

Na murze oporowym widzimy tablice informacyjne z fajnymi napisami. Za plucie na ulicy grozi mandat w wysokości 200 rupii a za palenie papierosów w miejscu publicznym 500 rupii.

Niektórzy ryzykują i jedzą lody. Ponoć są pyszne. Ja wolę się powstrzymać.

Życie nocne kwitnie, choć wszystkie zadaszona miejsca jak i ławeczki są zajęte przez układające się do snu psy. Jest ich tutaj sporo. Patrząc na to postanawiamy wracać do hotelu. Dzisiaj są imieniny jednej z uczestniczek wyprawy i trzeba spędzić ten wieczór razem. Tak jak ja dostałem w prezencie na swoje imieniny ładna czapeczkę i portfelik tak Ania dostała piękną skórzaną torebkę. W końcu kładziemy się spać. Jest tak cicho, że zaraz zasypiamy.

Dzień dwudziesty drugi

Rano wstajemy nieco później i ruszamy w stronę kolejki górskiej, którą widzieliśmy w dniu wczorajszym. Chcemy się nią przejechać. Zeszliśmy na dół do dworca kolejki zbudowanej przez Brytyjczyków. Od 1947 roku, czyli od przekazania jej Hindusom w zasadzie nic się tutaj nie zmieniło. Wciąż wąskotorówka jeździ jak dawniej. Przeprowadzono jedynie jakieś drobne remonty czy prace malarskie. Chociaż na wewnętrznej stronie szyn widzę datę 1962. Mogłoby to świadczyć o tym, że wtedy

wymieniono szyny, i pewnie przy okazji poprawiono torowisko. Przed odjazdem pociągu przychodzi ciekawie wyglądający zawiadowca. Ma na sobie śnieżno biały mundur, z którego nieco wyrósł. No powiedzmy sobie szczerze, urósł mu tylko spory brzuszek. Zawiadowca trzyma w ręku zieloną flagę i gdy tylko dostrzeżę, że chcemy zrobić zdjęcie pięknie pozuje uśmiechając się do wszystkich. Od razu widać, że wie po co tutaj jest.

Po chwili do wagoników podłączają lokomotywę i ruszamy. Najpierw powoli, ospale, przetaczamy się przez stację, później wjeżdżamy w bardzo długi tunel, i wreszcie gdy jesteśmy z drugiej strony góry „pędzimy” z zawrotną szybkością 5-6 km na godzinę. Przejechaliśmy tylko jedną stację a wydaje nam się jakbyśmy ujechali nie wiadomo ile.

Ze stacji, na której żegnamy się z naszym miłym zawiadowcą, idziemy w stronę znajdującego się na wzgórzu pałacu wicekrólów brytyjskich w Indiach. W pewnym momencie widzę jak kot łowi w locie gołębia i niesie go w pysku w spokojne miejsce by się posilić. Był tak szybki, że nawet nie zdążyłem podnieść do oka aparatu fotograficznego.



Wreszcie dochodzimy do pałacu. Niestety nieco zboczyliśmy z głównej drogi i weszliśmy do ogrodów tylnym wejściem. Robimy ładne fotki, gdy pojawia się strażnik gwiżdżąc na nas i machając rękoma. Gdy podchodzimy mówi byśmy się pospieszyli bo za chwilę jest wejście do pałacu i już zbiera się grupa. Dopiero teraz okazuje się, że nie wchodząc przez główne wejście nie wykupiliśmy biletów wstępu i teraz zamiast dołączyć do grupy musimy przejść kawałek do kasy by dopełnić formalności. Przez taki obrót sprawy nie zdążyliśmy dołączyć do grupy wchodzącej do pałacu i teraz musimy poczekać około 40 minut na kolejne wejście. Idziemy zatem do kawiarni gdzie możemy skosztować pysznej kawy, herbaty czy wina.

Zaraz wchodzimy do pałacu. Przewodnik opowiada po angielsku więc Jarek robi krótkie notatki i gdy grupa przechodzi do kolejnych pomieszczeń podaje nam ich treść. Pałac jest spory ale w środku czuć stęchliznę. Jest tu sporo zabytkowych mebli ale także dużo zdjęć z ważnych wydarzeń jakie miały tu miejsce.

Usytuowany w środku hol z drewnianymi schodami i balkonami dosłownie powala na kolana. Cóż za kunszt wykonania. Wprost nie możemy oderwać oczu od tego detalu architektonicznego. Dzisiaj w budynku mieści się wyższa uczelnia. Na początku urzędował tu premier.

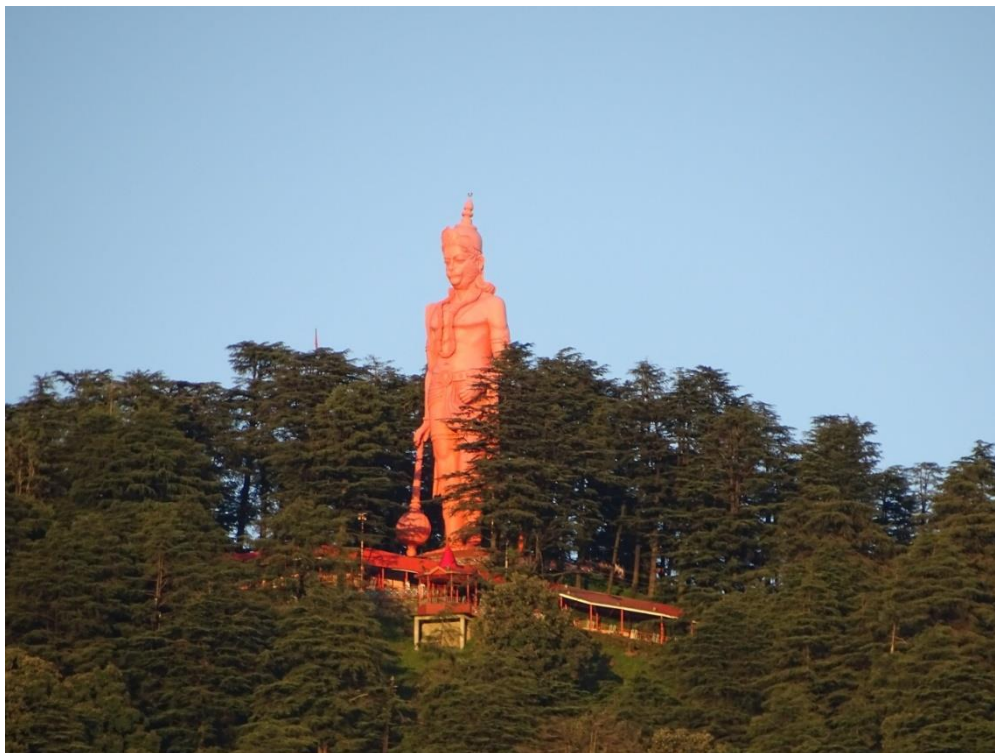
W środku wita nas niesamowity chłód. Do tego straszna wilgoć. To wciskająca się do środka budynku mgła, która przyszła nie wiadomo skąd. Ponieważ czas zwiedzania minął nie pozostaje nam nic innego jak zejść w kierunku centrum miasta. W końcu docieramy do miejsca, w którym widać po obu stronach ulicy pałace, restauracje i hotele. Po drodze trafiamy na jakąś uroczystość szkolną. Największym dla nas zaskoczeniem było spotkanie grupy robotników pracujących przy budowie drogi. Co prawda widzieliśmy już takie obrazki w górach ale nigdy wcześniej nie byliśmy tak blisko tych ludzi, nie rozmawialiśmy z nimi. Tutaj dosłownie kluczyli oni pomiędzy nami niosąc na głowach kosze z betonem lub kamieniami. Wszyscy byli ubrani bardzo kolorowo. Tutaj nikt się nie przejmuje brakiem ubrania roboczego. Nie wiem czy w ogóle takie pojęcie występuje w ich języku. Wiele z kobiet pracujących dodatkowo na plecach dźwiga przewiązane chustą dziecko. Większe dzieci po prostu bawią się w tym czasie wykorzystując do tego celu żwir i piasek leżący na hałdach.

Gdy dotarliśmy do hotelu stwierdziliśmy, że musimy nieco odpocząć. W końcu zrobiliśmy kilka, jeśli nie kilkanaście kilometrów. Później idziemy na zasłużony obiad. I tutaj po raz pierwszy doświadczamy co to znaczy nie zwracać uwagi na zachowanie ogółu. Otóż wypatrzyliśmy jakiś lokal. Z zewnątrz wyglądał on na

bardzo elegancki, widać było, że jest klimatyzowany, pełno w nim kelnerów, czyste `obrusiki, stylowe meble. Zatem wchodzimy, zajmujemy miejsca i zastanawiamy się co zamówić. Kelnerzy nie kazali na siebie czekać, zaraz przynieśli menu i chcieli przyjąć zamówienie. I wtedy dopiero dotarło do nas dłaczego, gdy we wszystkich sąsiednich lokalach panuje niesamowity tłok, tutaj jest zupełnie pusto. Otóż okazało się, że w tym lokalu szklanka herbaty kosztuje tyle co normalnie cały obiad. Gdy grzecznie dziękowaliśmy wychodząc kelnerzy byli bardzo niezadowoleni, widać to było wyraźnie na ich twarzach. My udaliśmy się do lokalu obok prowadzonego przez indyjskie związki zawodowe. Ponoć lokal ten ma nieco niższą klasę ale za to wszystko ma być tutaj tańsze. Faktycznie gdy wchodzimy nie widzimy wolnego miejsca. Panuje tu taki ścisk, że trudno się gdzieś przedostać. W końcu kelner znajduje dla nas kilka wolnych miejsc. Cała tutejsza obsługa, a jest jej dosyć sporo, ubrana jest w białe kitle. Wygląda to trochę dziwnie zważywszy, że ich ubranie po kilku godzinach pracy nadaje się w zasadzie tylko do prania. W końcu zamawiamy coś co wydaje nam się ciekawe. Do wyboru dania bardziej przekonuje nas jego wygląd na talerzach sąsiadów niż sam wpis w karcie dań. Po prostu patrzymy jakie dania są zamawiane najczęściej. Po chwili dostajemy to co zamówiliśmy i okazuje się, że mieliśmy rację by brać to co jest najpopularniejsze. Wszystko było smaczne, chociaż smaki niektórych dań były „ciekawe”. Na koniec spotkało nas bardzo miłe zaskoczenie. Rachunek wyszedł dużo mniejszy niż płaciliśmy dotychczas. Najedzeni mogliśmy udać się na dalszy spacer.

Widzimy gmach teatru. Próbuje wejść, okazuje się, że jest otwarte. Cóż robić. Ponieważ jeden z nas jest rekwizytorem w teatrze wchodzimy do środka. Widzimy scenę, oglądamy widownię. Nasz kolega w tym czasie wchodzi za kurtynę. Mówi, że wszystko jest tak jak powinno być w każdym teatrze. Nie ma co dłużej tu siedzieć, wychodzimy i idziemy głównym placem w kierunku widocznej wieży kościoła. Oczywiście przed wejściem każą nam zdjąć buty. Trochę nas to bawi bowiem jest to pierwszy kościół katolicki na jaki trafiliśmy. Na deptaku stoi pomnik Gandhiego i drugi przedstawiający Indirę Gandhi.

Idziemy pod górę w stronę widocznego z dołu pomnika króla małp. Jest stromo, nawet bardzo stromo. Pot zaczyna zalewać nam oczy. W końcu docieramy na miejsce. Pomnik jest olbrzymi. Jest tam także świątynia. Przed wejściem każą nam chować buty do specjalnego pomieszczenia. Chodzi o to, że mogą je ukraść małpy. Początkowo nie bardzo w to wierzymy ale gdy pilnujący tego miejsca żołnierz co chwilę używa procy, z której strzela do małp, wiemy, że to nie ich wymysł. Jest tu też gość z długim kijem, który przegania zbyt natarczywe małpy.



Ponieważ na podejściu nasza grupa nieco się rozciągnęła, jesteśmy tutaj pierwsi. Gdy przychodzi reszta mówią nam, że jedna z małp skoczyła na głowę Kazimierzowi i wykorzystując zaskoczenie zabrała mu okulary. Nie było jednak źle. Stojący w pobliżu człowiek powiedział by kupić on u niego jakąś karmę, a on zamieni ją z małpą na okulary. Tak też się stało.

W związku z tym ja szybko schowałem swoje okulary do kieszeni. Dobrze uczyniłem bo koło pomnika zaatakowała mnie małpa. Gdy chciałem jej oddać przewodnik powiedział bym tego nie robił bo mogę sprowokować atak całego stada, a wtedy nie będę miał najmniejszych szans by wyjść z opresji cało.

Gdy siedzieliśmy sobie na ławeczce, podczas kiedy reszta poszła zwiedzać świątynię, usłyszeliśmy jakiś świst nad głową. Po chwili drugi. Zaczęliśmy się rozglądać co zaś. Patrzymy a to siedzący na dachu świątyni żołnierz strzela z procy kamieniami w kierunku małp, które zachodzą nas od tyłu. On po prostu pilnował by te nie okradły nas.

Pora schodzić na dół. Gdy doszedłem do bramy uznałem, że jestem bezpieczny i założyłem okulary z powrotem na nos. Chciałem zrobić zdjęcie bo na pomniku lwa siedziała małpa. Gdy robiłem zbliżenie nie wiadomo skąd wyskoczyła druga, która

ściągnęła okulary z mojego nosa. Od razu podszedł do mnie sprzedawca karmy by mi zaproponować pomoc. Podczas gdy ja wyjmowałem z portfela 20 rupii, on poleciał z karmą za małpą i po dokonaniu wymiany przyniósł mi okulary. Ciekawe czy to jest naturalne czy sprzedawca ma układ z małpami? Teraz już na wszelki wypadek szedłem bez nich aż do miasta. Dopiero tam odważyłem się je założyć. Schodząc na dół stanęliśmy na chwilę przy stoisku (drewniana budka wielkości altanki) by coś obejrzeć. Gdy sprzedawca nam podawał to o co prosiliśmy z drzewa zeskoczyła małpa i porwała mu odłożoną na chwilę kanapkę. Później wskoczyła na najbliższe drzewo i patrząc się na nas bezczelnie zjadała ją.

Wieczorem, po odpoczynku, wybraliśmy się ponownie na spacer. Miasto o tej porze wyglądało pięknie. Niestety wszędzie było pełno małp. Po chwili z góry zeszła mgła tak gęsta, że musieliśmy przysiąść gdzieś by przeczekać ją. Długo to nie trwało. Zaczęły pojawiać się światełka, najpierw te bliżej nas, później te dalsze. W końcu znowu było widać całą okolicę upstrzoną światełkami. Coś urzekającego. Ponieważ było bardzo późno doczekaliśmy pory kiedy zaczęto zamykać restauracje i bary. Mogliśmy zobaczyć jak myje się naczynia i sprzęt gastronomiczny. Wyciągano duże miski albo największy garnek jaki akurat był pod ręką, zalewali go wodą z węża, a następnie myli po kolei talerze i mniejsze garnki. Na koniec wszystkie naczynia opłukiwali wodą z kolejnej miski i odstawiali na półki. Ot i wszystko. Naczynia gotowe do użycia.

Dzień dwudziesty trzeci

Rano udaliśmy się na dworzec autobusowy by przejechać do kolejnej miejscowości. Tym razem mieliśmy jechać lepszym pojazdem, który miał luki na bagaże po bokach. Gdy weszliśmy zając miejsca przeżyliśmy szok. Fotele prawie lotnicze, odstępy między nimi tak szerokie, że nogi mieszczą się bez problemów. Mało tego, siedzenia można było ustawić jak się chciało, nawet położyć, do tego były wyposażone w regulowane podnóżki wykonane z bardzo miękkiego materiału.

Na przejazd do Haridwaru, bo tam się udawaliśmy, mieliśmy zaplanowany cały dzień. Myśleliśmy, że w pierwszym autobusie wypoczniemy ale wkrótce okazało się, że to tylko złudzenie. Jedziemy tak jak zwykle 20-30 km na godzinę. Niestety po pierwszej przerwie wszystko się zmienia. Konduktor włącza telewizor i nasza idylla kończy się. Telewizor jest nastawiony na maksa. Długo nie trzeba było czekać by wszystkich zaczęła boleć głowa. A, jak się okazało, w panelu pasażerów nie ma przycisku regulacji ani wyłącznika głosu. Dopiero na którąś z kolejnych interwencji

konduktor trochę skreślił głos. Nie da się bowiem na dłuższą metę słuchać hinduskich filmów, w których ciągle ktoś przeraźliwie krzyczy.

Abyśmy nie mieli za dobrze konduktor włącza klimatyzację. Pokrętko ustawia na ful. Do tego kierowca prawie non stop używa klaksonu. Trąbi na wszystkich i na wszystko. Czasami mamy wrażenie jakby to była najważniejsza część jego pracy. W końcu przyjeżdżamy do Chandigarhu, miejsca w którym musimy przesiąść się na inny autobus. Zanim dotrzemy na dworzec mijamy kilka wspaniałych rond oraz kondukt żałobny, w którym idący na przedzie niosą na noszach zwłoki mężczyzny.

Nareszcie możemy trochę odsapnąć. Idziemy coś zjeść. Do odjazdu kolejnego autobusu mamy prawie dwie godziny. Tym razem ma to być zwykły liniowy pojazd, co oznacza, że nie będzie żadnych wygód. Będą ciasne siedzenia z niskimi oparciami, do tego w rzędach 2 plus 3. Na razie panuje tu niezwykle jazgot. Po peronach biegają jacyś mężczyźni i strasznie wrzeszczą. Okazuje się, że zastępują oni megafony. Muszą zatem przekrzyczeć cały panujący tu hałas. O dziwo są bardzo skuteczni. W zasadzie nie ma problemu by usłyszeć podawane przez nich informacje o właśnie odjeżdżających autobusach.

Wreszcie podejżdża nasz, faktycznie nie wygląda zbyt zachęcająco, ale cóż, nie mamy innego połączenia. Nauczeni doświadczeniem z wodą w luku bagażowym wnosimy plecaki do środka. Początkowo kierowca burzy się na takie rozwiązanie ale gdy mówimy, że kupimy bilety na dodatkowo zajęte miejsca zgadza się. Wszystkie bazowe plecaki umieszczamy z tyłu pojazdu. Zajmują one sporo miejsca. Gdy odjeżdżamy część miejsc jest wolna, nie mamy problemów by się jakoś rozlokować. W miarę jednak jazdy ludzi wciąż przybywa. To już nie góry, gdzie ludzi nie ma tak dużo, to prawdziwe Indie. Znowu są tłumy, tysiące przydrożnych sklepików i barów. Znowu jest gorąco. Znowu pot zalewa nam oczy. W tym autobusie nie ma klimatyzacji. W poszczególnych miejscowościach kierowca nawet nie próbuje stawać. Ludzie wyskakują i wsiadają do autobusu w biegu. Na trzech pasach ulic często jedzie 4 lub 5 samochodów, przeważnie ciężarowych. A do tego jeszcze kilka motocykli, rikszy czy rowerów. No i czasami wejdzie jeszcze krowa. W samym autobusie panuje taki ścisk, że nie ma już mowy by ktoś jeszcze się zmieścił.

Do Haridwaru docieramy o 21 wieczorem. To co się dzieje na dworcu można opisać w kilku słowach: bród, smród i tłok. Ludzie czekają, jak mają możliwość siedzą, jak nie po prostu kładą się na betonie i śpią. Czasami kładą się tam gdzie im pasuje, nie patrząc czy będą komuś przeszkadzać i czy będzie to dla nich bezpieczne. Dobrze, że szybko łapiemy jakieś riksze i udajemy się do hotelu. Zapachy dobiegające z baru

usytuowanego po drugiej stronie ulicy drażnią tak, że niektórzy decydują się na przekąskę. Ponieważ pora jest późna zamawiają zupę pomidorową. Dobrze, że ci którzy zamówili posiłek poszli usiąść w głąb baru. My usiedliśmy przy ustawionej na chodniku kuchni więc siłą rzeczy przyglądaliśmy się jak obsługa przygotowuje taki posiłek. Najpierw pani rozgrzewa na patelni jakiś tłuszcz dodając doń wodę i kilka torebek jakiegoś proszku. Na koniec wlewa do tego dwie łyżki rosółu i dodaje dwa kleksy keczupu. Pomidorowa gotowa. Najlepsze jednak dopiero przed nami. Pani bierze miseczki i myje je w mazistej wodzie nalanej do dużej beczki. Teraz nalewa zupę i podaje ją w „czyściutkich” naczyniach. Smacznego!

Widząc to wstajemy i idziemy do hotelu. Ci siedzący w głębi ze smakiem zjadają podaną zupkę. Ale przecież tutaj wszyscy tak jadają. Różnica polega tylko na tym, że w barach widzisz w czym myją naczynia a w restauracjach nie. Co oczywiście nie zmienia faktu, że i tu i tam czyni się to tak samo.

Dzień dwudziesty czwarty

Na spacer wychodzimy zaraz po zjedzeniu śniadania w pobliskiej restauracji. Widzimy, że komuś rozsypała się na ulicy mąka. Raczej trudno byłoby ją zgarnąć z powrotem do worka więc pozostała tam gdzie upadła. Od razu pojawiła się jedna z chadzających po ulicy krów i zaczęła zlizywać mąkę. Po chwili asfalt był czyściutki a krowa miała biały pysk. Widać jednak, że musiało jej smakować bo cały czas oblizywała się. Idziemy w stronę Gangesu. Podążamy ulicą pełną gwaru, stoisk z owocami, zatłoczoną tak jak nigdy dotąd. Po kilku kilometrach dochodzimy do świętej rzeki. Po drodze mijaliśmy grupy ludzi ubranych na pomarańczowo. Są to pielgrzymi niosący widły i baniaki na wodę. Do czego były im potrzebne widły nie dowiedzieliśmy się, natomiast baniaki były niesione aby nabrać do nich wodę ze świętej rzeki i przynieść do domów dla tych członków rodziny, którzy z różnych względów nie mogli udać się w pielgrzymkę. Trzeba wiedzieć, że taki marsz nieraz trwa wiele dni czy tygodni.

Tak się składa, że miejsce nad Gangesem, do którego dotarliśmy jest niezwykle ważne. To właśnie tutaj zstąpił na ziemię Siwa. Dlatego kto w tym miejscu zażyje kąpeli zostaną mu odpuszczone wszystkie grzechy jakie popełnił do dnia dzisiejszego. Nawet te z poprzednich wcieleń. Ganges ma wysoki poziom wody i jest tutaj bardzo rwący nurt, więc trzeba uważać by się nie utopić. Dlatego wzdłuż brzegu są założone bariery i łańcuchy ułatwiające utrzymanie się na schodach. Wyglądało na to, że Hindusom bardzo się spodobał nasz pomysł zażycia kąpeli w rzece. Gdy tylko weszliśmy do wody otoczyli nas wkoło i podawali tekst jakiejś

modlitwy. Woda jest tutaj w miarę czysta tylko mulista od skał. Jest jednak bardzo zimna i orzeźwiająca. W tym najświętszym miejscu nie wolno jest palić zwłok, jedynie wolno zażywać kąpeli i puszczać wianki z kwiatów.



Po kąpeli siadamy, tak jak wszyscy, na schodach by wysuszyć się w promieniach słonecznych. Ponieważ spieszymy się, zakładamy ubranie na jeszcze nieco mokrą bieliznę. Nikt jednak nie zwraca na to uwagi. My za to zwracamy uwagę na to, że mężczyźni do kąpeli rozbierają się do slipów, natomiast kobiety wchodzi do wody w pełnym ubraniu.

W planie mieliśmy dalszy spacer wzdłuż rzeki. Dlatego szybko odebraliśmy z przechowalni nasze buty i ruszyliśmy dalej. W międzyczasie widzieliśmy jak co odważniejsi, a może nie posiadający wyobraźni, próbowali przepłynąć z jednego brzegu rzeki na drugi. Większości udawało się to. Zdarzały się jednak przypadki, że nurt porwał niektórych. Jedynym ratunkiem były dla nich zwisające łańcuchy przymocowane do barierki na kolejnych mostach. Gdy to nie pomagało taki człowiek nie mógł już liczyć na żadną pomoc.

Spacerujemy jedną stroną rzeki oglądając stoiska i kramy tam usytuowane. Zaintrygowało nas, że niektórzy puszczaają na wodę coś w rodzaju wianków. Gdy

zobaczyliśmy stoisko z takimi niby bukietami niektórzy z nas kupili je i po zapaleniu świeczki próbowali puszczać na wodę. Z różnym skutkiem. Przeważnie wianki zahaczały o tańcuchy i tonęły. Ale nie tylko nam, tubylcom także.

Po przejściu kilku kilometrów skorzystaliśmy z kolejnego mostu i wróciliśmy na pierwotny brzeg Gangesu by udać się w stronę wyciągu krzeselkowego, którym można wjechać na jedną z dwóch świętych gór. Na jej szczycie znajduje się bardzo ważna świątynia. Nie było sensu dreptać na górę pieszo bo nie zdążylibyśmy na posiłek. Niestety po wykupieniu biletów spotkało nas przykre rozczarowanie. Otóż byliśmy na szarym końcu długaśnej kolejki oczekujących na wjazd. Najpierw szliśmy kilkaset metrów by dotrzeć do hali, w której znajdowało się ze dwadzieścia rzędów krzeseł. Po odstaniu, w tym wypadku odsiedzeniu swojego, zostaliśmy zaproszeni do wąskiego korytarza po przejściu którego poddano nas zwyczajowemu przeszukaniu. Prześwietlono nasze bagaże i wreszcie mogliśmy wsiąść do wagoników. Na szczęście sam wjazd trwał tylko kilkanaście minut.

Jak się zdziwiliśmy gdy dotarliśmy na górę. Wydawało nam się, że podążamy w tłumie. To jednak było nic w porównaniu z tym jak dużo ludzi wchodziło do świątyni. Teraz dopiero był to prawdziwy tłum. Tym razem nie mogliśmy zostawić butów byle gdzie bo moglibyśmy już ich nie odnaleźć. Zauważyliśmy specjalne strefy przyjmowania butów, takie niby szatnie. Powolutku posuwamy się z wszystkimi. Co chwile stoją osoby pilnujące porządku i co chwile starają się namówić idących na składanie kolejnego datku. Dosłownie wszędzie, w każdej kaplicy, przy każdym posągu, ludzie wciskają pieniądze. Wszystko jest nimi oblepione. Do tego prawie każdy z kolejki przynosi tutaj i zostawia artykuły żywnościowe. Przecież mnisi też są ludźmi i muszą coś jeść. A modląc się ciągle nie mają czasu na pracę zarobkową. Gdy trafiają się jakieś większe fragmenty posadzki zaraz ci bardziej zmęczeni kładą się na nich by odpocząć.

Wreszcie docieramy do wyjścia. Mamy dosyć. Odbieramy buty i mimo, że mamy opłacony zjazd kolejką idziemy na dół pieszo. W sumie dobrze, że tak zdecydowaliśmy bo mieliśmy okazję zobaczyć jak wygląda pielgrzymka ludzi, których nie stać na luksusy typu wyciąg. Na całej trasie zejścia do miasta rozstawiono setki straganów. Nas jednak zainteresowały te z ułożonymi na nich stosami monet jednorupiiowych. Ciekawe to bo normalnie poza sklepami nigdzie nie wydawano nam żadnych monet. Mieliśmy tylko banknoty papierowe. Wytłumaczenie okazało się bardzo proste i nie pozbawione mądrości. Otóż stoiska te oferowały rozmiennianie pieniędzy. Ten kogo było na to stać wymieniał banknoty na monety jednorupiiowe, które w zasadzie nie miały żadnej wartości nabywczej. Za

rupię nie można było nic kupić. Oczywiście za pośrednictwo trzeba było zapłacić prowizję w wysokości 10 %. Teraz jednak, każdy kto miał bilon mógł obdzielać wszystkich mijanych po drodze, którzy prosili o wsparcie. Dostawali oni po jednej rupii. W ten sposób wilk był syty i owca cała. Darczyńcy czuli, że spełnili dobry uczynek, a obdarowani cieszyli się nawet z tak lichego datku. W końcu przez cały dzień przewija się na tej drodze tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy ludzi, więc pod wieczór tych drobnych monet można było zbierać naprawdę dużo.

Schodząc na dół ponownie spotykamy grupę pielgrzymów, która mijała nas w mieście. Musieliśmy zrobić sobie z nimi ładne zdjęcie. Pora jednak wrócić do hotelu, raz by coś zjeść, dwa by trochę odpocząć przed wieczornym spacerem. Zabawne bo wczoraj gdy siedzieliśmy sobie na dachu hotelu obsługa ostrzegała nas przed małpami łązącymi dosłownie wszędzie. Przypatrywaliśmy się jak na sąsiednim dachu radzą sobie małpie maluszki, nawet rzucaliśmy im jakieś jedzenie. Nie przypuszczaliśmy, że tak szybko przekonamy się jak niewłaściwie się zachowywaliśmy. Gdy wychodziliśmy rano na spacer Marek nie mógł znaleźć rozwieszanej na sznurku bielizny. Okazało się, że dobrały się do niej małpki. I gdy wychodziliśmy z hotelu widzieliśmy jak na drutach z prądem znajdujących się nad ulicą na wysokości pierwszego piętra dumnie powiewają jego majtki. Niestety nie było jak się do nich dostać. Ponieważ było nam głupio szybko poszliśmy na spacer mając nadzieję, że problem sam się rozwiąże. I słusznie. Gdy wróciliśmy na obiad majtek już nie było. To załoga hotelu w jakiś sposób po nie sięgnęła i zlikwidowała dumną flagę naszej grupy.

Na razie mamy ponad 30 stopni Celsjusza. Płyniemy. Dobrze, że hotel posiada czynną klimatyzację. Na ponowny spacer nad Ganges odważamy się wyjść dopiero pod wieczór kiedy obniżyła się nieco temperatura. Głównym celem naszego spaceru była chęć zobaczenia jak należy prawidłowo puszczać wianki. Gdy docieramy nad rzekę okazuje się, że w ciągu tych kilku godzin woda podniosła się o dobre pół metra. Pewnie w górach padał deszcz. Tutaj tylko pokropiło. Gdy mieliśmy wracać rozpoczęła się jakaś wieczorna uroczystość modlitewna. To Pudza. Prowadzący ją oblewał wodą nabraną ze świętej rzeki posążki bóstw ustawione w kolejnych ołtarzach, smarował je olejami o różnych kolorach i przyklejał do nich kwiaty. Z megafonu leciała modlitwa. Gdy myśleliśmy, że to już koniec muzyka stała się szybsza a prowadzący wziął dzban z olejem i gdy ten płonął czerwonym ogniem wszedł na wysuniętą nad rzeką kładkę. Tam rozpoczął przedziwny taniec. W rytm muzyki wił się jak wąż, przysiadał, obracał się, machając jednocześnie płonącym dzbanem. Oliwa co chwilę skapywała do rzeki gdzie z głośnym sykiem gaszonego

ognia zatapiała się w wodzie. Tancerz miał owiniętą rękę, którą trzymał dzban kocem azbestowym, inaczej na pewno by się poparzył. Ponieważ właśnie zapadał wieczór i szybko robiło się ciemno zataczone kręgi żywym ogniem wywoływały na wszystkich niesamowite wrażenie. Na nas także. Nie mogliśmy oderwać oczu od pomarańczowo-czerwonych płomieni. Na zakończenie tego niesamowitego rytuału prowadzący malował na czołach ludzi czerwone plamki i rozdawał im kwiaty.



Gdy chcieliśmy już wracać do hotelu okazało się, że to jeszcze nie koniec. Dopiero teraz rozkręcała się „zabawa”. Ludzie biorący udział w tym rytuale zaczęli rozchodzić się po mieście niosąc z sobą radość. Udaliśmy się za nimi i weszliśmy do pierwszej napotkanej świątyni. Tam od razu rozpoczęto dalszy ciąg rytuału. Najpierw kilka osób wydobywało przejmujące głosy z bębnów, później wędrowano od ołtarza do ołtarza. Wyglądało na to, że dopiero teraz całe miasto pogrąży się w radości. Dla nas jednak było aż za nadto, wróciliśmy do hotelu.

Dzień dwudziesty piąty

Późną nocą dotarliśmy do dworca kolejowego gdzie wsiedliśmy do pociągu jadącego do Delhi. Tym razem był to pociąg sypialny ale nie taki jak u nas. W każdym przedziale były po trzy miejsca leżące po obu stronach, do tego dodatkowe miejsca na sąsiedniej ścianie. Oczywiście przedziały były otwarte, nie było mowy o jakiejś intymności. Najpierw musieliśmy odszukać swoje miejsca, później powalczyć o nie. Gdy dotarłem do swojego przedziału siedziała tam już jakaś hinduska rodzina. Same kobiety i jeden starszy mężczyzna. Ten widząc gdzie się kładę starał się mnie

odwieść od tego. Nie miałem jednak ochoty na jakieś zbędne dyskusje, byłem zbyt zmęczony. Nie kontynuując z nim rozmowy po prostu zająłem swoje miejsce. Zgodnie z zaleceniami za głową położyłem plecak bazowy a pod głowę osobisty. Wskoczyłem do śpiwora i wystawiając nogi na przejście, niestety leżanki dostosowane są do miejscowych a ci nie są tak duzi jak ja, chciałem szybko zasnąć ale niestety nie dało się. Wszędzie były pozawieszane wielkie wentylatory. I oczywiście moi hinduscy współpasażerowie od razu włączyli je na maksa. Fajnie tylko, że oni śpiąc niżej czuli lekki powiew chłodnego powietrza natomiast ja leżący tuż pod wentylatorem omal nie zamarzałem. No i zaczęła się zabawa, ja wyłączyłem wentylator, oni go włączali. I tak w kółko. W końcu nie mając już więcej sił włączyć z nimi nastawiłem wentylator na minimalne obroty i udało się. Nie zauważyli tego. Mogłem wreszcie spokojnie zasnąć.

Dzień dwudziesty szósty

Gdy się obudziłem dojeżdżaliśmy do Delhi. Znowu robiło się gorąco. Na szczęście to już prawie koniec naszej podróży. Faktycznie wędrując po górach nie czuje się żaru lejącego się z nieba. Tutaj jednak czujemy się jak w rzymskiej łaźni. Wystarczy wyjść z klimatyzowanego lokalu i od razu pot zalewa nam oczy. Czujemy jak płyniemy. Nie ma na to rady. Jedyne co to trzeba mieć ze sobą to butelkę z wodą i co chwilę z niej popijać.

Po wyjściu z dworca udaliśmy się do znanego nam hotelu gdzie udostępniono nam dwa pokoje tak byśmy mieli gdzie zostawić swoje rzeczy i skorzystać z toalety. Ostatnim obiektem jaki chcieliśmy obejrzeć był Meczet Piątkowy. Faktycznie obiekt ten jest olbrzymi ale trochę nas rozczarował. Najpierw, zgodnie z tutejszymi zwyczajami, panie zakładają chusty na głowy i przykrywają gołe nogi. Później staramy się wytrzymać parzące kamienie, którymi wyłożony jest cały plac otoczony arkadami. Wszystko z różowego piaskowca.

Wejście na minaret jest płatne. I tu właśnie po raz pierwszy spotkaliśmy się z tak bezczelną próbą złodziejstwa. Najpierw w ramach kontroli biletów chcieli nam je zabrać, później chcieli obowiązkowo pilnować naszych plecaków, oczywiście odpłatnie. Po jakimś czasie w świątyni ponownie próbowali odebrać nam bilety. Wyglądało to tak, jakby chcieli kilka razy wprowadzać do obiegu te same bilety. Gdy jednak oświadczyliśmy, że w cenie biletu jest zarówno wejście na górę jak i przypilnowanie plecaków dali nam spokój. Skupili się na kolejnych białych turystach.



W zasadzie to nie mamy jakiś ekstra doznań w związku z bytnością w tej świątyni. Wygląda ona surowo i odnieśliśmy wrażenie, że ludzie modlili się do gołych niczym nieozdobionych ścian, a właściwie znajdujących się tam niszy. Nie mnie jednak to osądzać. Pewnie, z racji mojej małej wiedzy o ich religii nie dostrzegam tego najważniejszego.

Następnym adresem do którego chcieliśmy dotrzeć było miejsce kremacji Gandhiego. Tym razem przemierzaliśmy się wynajętymi riksami. Dopiero teraz zobaczyliśmy jaką trzeba mieć wprawę by przecisnąć się ulicami Delhi w godzinach największego ruchu. Niestety próba odnalezienia drzewka Wałęsy nie powiodła się. Zwyczajem jest bowiem, że odwiedzający to miejsce szefowie państw sadzą drzewka. A ponieważ Lech Wałęsa był tutaj, gdzieś rośnie sobie posadzone jego ręką.

I znowu widzieliśmy popis jazdy riksami. Jakież kierujący nimi muszą mieć wyczucie czasu i przestrzeni. Nawet kaleka czołgający się po jezdni, wydawało się, że zaraz zostanie rozjechany, to w ostatniej chwili, co prawda o milimetry, ale został ominięty. I to bez zbędnego hamowania. Zresztą on też w ostatniej chwili cofnął swoją rękę, która zaraz mogła znaleźć się pod kołem. Obaj wiedzieli co robią.

Teraz pozostano nam tylko wydać resztę pieniędzy bo okazało się, że pozostano nam ich sporo. Idziemy do znanego już nam „domu towarowego” gdzie każdy wybiera to co mu się podoba. Później następuje faza negocjacji i w końcu nabywamy to co chcieliśmy i po cenach, często znacznie niższych od pierwotnie

oferowanych. Nie wiem czy wszyscy byli zadowoleni ze swoich zakupów, ja byłem. W końcu kupiłem szal paszmirski, który miał być prezentem dla mojej żony. Jeszcze tylko kilka drobiazgów, zapas dobrej herbaty, przypraw i rum indyjski. Wreszcie mamy wszystko, możemy jechać do hotelu by się spakować.

Lot do Zurychu mamy tuż przed północą więc nie zwlekając ruszamy na lotnisko. Jest nas zbyt dużo by pomieścić się w jednym samochodzie więc wynajmujemy dwa auta. Jadąc pierwszym szybko docieramy do lotniska i czekamy na drugi. Czekamy i czekamy. W końcu zaczynamy się denerwować, przecież za chwilę trzeba przejść odprawę. Jak się spóźnimy to utkniemy tutaj. W końcu przyjeżdża drugie auto i co się okazuje. Ich kierowca po prostu gdy przejeżdżał koło świątyni zatrzymał samochód i poszedł się pomodlić!

Teraz już nic nam nie mogło stanąć na drodze. Szybko przeszliśmy odprawę i w oczekiwaniu na odlot zwiedziliśmy sklepy w strefie wolnocłowej. Piszę zwiedziliśmy bo jak się okazało ceny były tu nie niższe ale wyższe i to co najmniej dziesięciokrotnie.

Dzień dwudziesty siódmy



W końcu startujemy. Wreszcie możemy odetchnąć. Przecież już nic więcej nie może wydarzyć się nieprzewidzianego. Tak też było. Szybka przesiadka w Zurychu i zaraz lądujemy w Warszawie. No i szara rzeczywistość. Oczekiwanie na pociąg do Jeleniej Góry i jazda trwająca tyle samo co lot z Delhi.

Jednak nic nie może nam odebrać radości z tego co zobaczyliśmy i ze szczęśliwego powrotu do domu.

Wydawca:
Komisja Krajoznawcza Oddziału PTTK "Sudety Zachodnie"
Jelenia Góra – lipiec 2017
Tekst i foto: Krzysztof Tęcza